MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 10. WARSZAWA, 8 MARCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIE O WIEDZĘ ŻYDOM CHODZI

DĄŻNOŚĆ żydostwa do opanowania wyższych uczelni jest zjawiskiem naogół znanem nietylko w Polsce. Ze stosunków odnośnych w Polsce zbyteczne przytaczać liczby — wszyscy o tem wiedzą. Podajmy przeto kilka liczb ze stosunków w innych krajach.

Weźmy np. Stany Zjednoczone A. P. z jej faktyczną stolicą — Nowym Jorkiem. Znany krytyk żydowski, zamieszkały w tem mieście, S. Niger, w swoim referacie o „życiu żydowskiem w Ameryce", w dn. 16.V 1931 r. w Warszawie mówił:

„dla żydów staje się niemożliwe zatrudnienie w zawodach wolnych. Istnieje nadprodukcja żydowskiej inteligencji. W ten sposób zamykają się — nie na tle judofobji — drzwi uniwersytetów dla naszej uczącej się młodzieży. A jednak na uniwersytecie w Nowym Jorku studenci-żydzi wynoszą 80 — 90% ogółu. Szczególnie ciężko jest żydom dostać się na wydział medyczny". („Hajnt" 120, 1931 r.)

Podobny napływ żydów dał się stwierdzić na uczelniach w Kanadzie, na co wskazuje fala judofobji wśród miejscowych studentów. Profesor ekonomji politycznej na uniwersytecie w Toronto, W. Sprenkel, na prośbę żydowskiego związku studentów, wygłosił w listopadzie 1931 r. referat,

„w którym wezwał społeczeństwo kanadyjskie do czynnej walki z judofobją na uczelniach wyższych w Kanadzie. Na uniwersytecie w Toronto studjuje 900 żydów. Nie lubią żydów"—oświadczył prof. Szprenkel—„za to, że są pilni i zdolni". („Hajnt" 295, 1932, ż. a. t.).

Weźmy Rosję w okresie „dyktatury proletarjatu". Wysłannik „J. D. C.", dr. Bogen, po zbadaniu sytuacji żydostwa w Rosji, w swojem sprawozdaniu dla tej instytucji żydowskiej w St. Zjedn., w 1923 r. pisał:

„gdy dawniej [w okresie caratu, p r z y p.] ilość studjujących żydów na wyższych uczelniach nie przekraczała 5%, dziś wynosi ona 72%". („Nasz Przegląd", W-wa, 81, 1923).

Podobny objaw stwierdza się i we wszystkich innych krajach. Chodzi nam o wskazanie na tendencję żydowską do opanowywania wyższych uczelni i dlatego na powyższych trzech przykładach można się ograniczyć.

Na budzącą się we wszystkich krajach reakcję społeczeństw rdzennych przeciw temu zalewowi obcego i wrogiego żywiołu żydowskiego na ich uczelnie, przywódcy żydowscy odpowiadają propagandą, że ten napływ stanowi wyraz pędu żydostwa do nauki, do wiedzy, bo żydzi są... „narodem książki".

Czy tak jest w istocie?

Gdyby żydom w krajach rozproszenia chodziło o naukę dla nauki, czynniki żydowskie, władając przecież finansami, umożliwiłyby niewątpliwie swojej młodzieży, tak żądnej „wiedzy", studja naukowe w uczelniach swoich, bądź to na uniwersytecie w Jerozolimie, istniejącym od 1925 r., bądź to w innym kraju, w którym można byłoby założyć uniwersytet dla żydów.

Weźmy uniwersytet w Jerozolimie. Jaki charakter ma ta uczelnia?

Omawiając przyjazd do Jerozolimy m. in. dr. Landau'a z Getyngi, który swoim wykładem o wyższej matematyce miał zapoczątkować matematyczny instytut na tej uczelni, korespondent palestyński w 1927 r. pisał:

„proszę zauważyć, że prof. Landau otwiera obecnie nie „matematyczny fakultet", a tylko „matematyczny instytut". Jest to duża różnica. Instytut jest do „badania" nauki, a nie „uczenia się". Do instytutu studenci nie będą przyjmowani. Oni nie mogą tutaj nic „ukończyć". Jest to nauka dla nauki. Fakultet natomiast jest dla prostych studentów, którzy uczą się przez pewien czas, 3 — 4 lata, kończą go i otrzymują tytuł doktora. Czy taki uniwersytet, który nie przynosi tymczasem żadnej praktycznej korzyści dla studentów, jest potrzebny w tym momencie?.." („Hajnt", 248, 1927 r.)

Taki charakter tej uczelni począł wywoływać krytykę wśród szerokich mas żydowskich m. in. w Polsce. Przytoczę słowa naczelnego organu syjonistycznego w Warszawie z 1928 r.:

„uniwersytet ten został obrócony od samego początku w jakąś „amatorską" instytucję bez żadnego związku z ży-

ciem, z realnemi potrzebami kraju i narodu, — w coś takiego, na co sobie pozwolić może tylko Francja np. z jej „*Collége de France*", gdzie ludzie uczą się wyłącznie dla nauki, nie mając takich „poziomych" celów, jak dyplom i karjera". („Hajnt" 26, 1928 r.)

W 1928 r. tę „badalnię" poczęto przeobrażać w normalną uczelnię na wzór europejski. Istotne motywy tego kroku „mędrców Syjonu" zdradził korespondent:

„obecnie mogę wyjawić trochę tajemnicy o przyczynie, która wpłynęła na „pośpiech" w utworzeniu normalnego fakultetu z dyplomami doktorskiemi. A więc pochodzi to stąd: administracja angielska w Erec Izrael przystępuje do utworzenia prawidłowego „*College*", to jest rodzaju uniwersytetu, z angielskim jako wykładowym. *College* będzie utworzony w Jerozolimie. Dr. Magnes [rektor uniwersytetu żyd., p r z y p.] w swojej mowie dla Tow. dziennikarzy o tem nie wspominał". („Hajnt" 153, 1928 r.)

A zatem tylko obawa przed niepożądanem współzawodnictwem angielskiej uczelni pobudziła kierownicze czynniki żydowskie do zapoczątkowania zmiany charakteru tego zakładu.

A jak jest z wydziałem medycznym na tej uczelni?

Prof. Ossendowski po zwiedzeniu w 1929 r. Palestyny w swoim referacie w Warszawie m. in. mówił:

„Uniwersytet jerozolimski ma pewne trudności, które wstrzymują naturalny bieg jego rozwoju, zwłaszcza mam na myśli fakultet medyczny. Ale właśnie te same trudności ma uniwersytet amerykański w Bejrucie, dokąd musi się wysyłać zamrożone trupy specjalnie z Ameryki". („Hajnt" 198, 1929 r.)

Te „trudności", dodajmy od siebie, są natury wyznaniowej. „Naród książki" — taki mądry—ma tego rodzaju wierzenia, że nie wolno mu korzystać z trupów żydowskich... Nawet dla nauki! I dlatego uczelnia jerozolimska i w dobie obecnej, w 1936 r. wydziału medycznego jeszcze nie ma! I to wówczas, gdy wydziały medyczne we wszystkich krajach są zalane przez żywioł żydowski. Pośredni przykład: na 8 tysięcy studentów żydów z Polski na uniwersytetach zagranicą w r. 1932, na medycynie było 4 tysiące. („Hajnt" 163, 1932 r.)

A może żydostwu brak pieniędzy na należyty rozwój uczelni w Jerozolimie?

Korespondent palestyński w 1930 r. pisał:

„Do uniwersytetu mają pretensję, dlaczego prowadzi się tam taką rozrzutną gospodarkę. Na 140 studentów budżet roczny wynosi około 50 tys. f. sterl. Jest to kwota, która przekracza budżety największych uniwersytetów europejskich, do których uczęszczają tysiące studentów". („Moment" 201, 1930 r.)

Aby zakończyć ten obrazek, ilustrujący dotychczasowe ustosunkowanie się całego społeczeństwa żydowskiego do swojej uczelni w Jerozolimie, wskazane jest podać ilość dyplomów, wydanych w 1936 r.:

„w roku bieżącym uniwersytet tutejszy wypuścił dwudziestu absolwentów, z których 7 wypada na instytut biologiczny, wydający w roku bieżącym pierwsze dyplomy". („Hajnt" 36, 1936 r.)

To na całą diasporę. Aż... 20!

Ale żydostwo, okazuje się, nie jest też skłonne do korzystania z takiej uczelni, która miałaby być organizowaniem życia żydowskiego przez samych żydów w Europie. Na to wskazuje informacja żyd. ag. telegr. z 1927 r., ogłoszona z powodu wiadomości pisma żydowskiego w Pradze Czeskiej, że w tem mieście ma powstać uniwersytet dla żydów, na który to cel ofiarował odpowiednią kwotę finansista, żyd ze Stanów Zjedn. A. P.:

„związek światowy studentów żydów i międzynarodowy kongres studentów żydów, który odbył się w 1929 r., wypowiedziały się przeciw utworzeniu odrębnego uniwersytetu dla ofiar „*numerus clausus*". Z tego wszystkiego jest widoczne, że gdyby nawet wiadomość praskiego pisma okazała się prawdziwą, sam plan utworzenia specjalnego uniwersytetu dla ofiar „*num. cl.*" nie będzie możliwy do przeprowadzenia". („Moment" 291, 1927 r.)

Dlaczego żydostwo stroni od swoich wyższych uczelni?

Aby przekonać się dostatecznie, o co żydostwu w tym zalewie obcych wyższych zakładów przedewszystkiem chodzi, przytoczę słowa Szlojme Biber'a, który w 1928 r. m. in. pisał:

„99% tych, którzy studjują w wyższych zakładach, zamierza przedewszystkiem zabezpieczyć sobie istnienie, a dyplom uniwersytetu, który nie daje prawa zajmowania się praktyką, nie posiada żadnego pod tym względem praktycznego znaczenia. Jeżeli szowinistyczna młodzież w różnych krajach prowadzi zagorzałą walkę o „*num. cl.*", czyni to ona dlatego, że chce uwolnić się od żydów jako współzawodników w wolnych zawodach. Wobec tego cała idea utworzenia specjalnego uniwersytetu żydowskiego, jako środek walki przeciw „*num. cl.*", jest w gruncie rzeczy fałszywa". („Moment" 5, 1928).

Tak jest. Młodzież, walcząca o wprowadzenie w swoich krajach ojczystych „*num. cl.*", pragnie w ten sposób uwolnić się od obcych i wrogich współzawodników. Ma do tego podstawę moralną. Wszak pochodzi z tegoż samego społeczeństwa rdzennego. Wszak pracuje i uczy się zarówno dla siebie, jak i dla swoich. Ma więc ta młodzież prawo domagać się, aby obcy żywioł żydowski nie podważał jej bytu w jej ojczyźnie.

A żydzi? Wszak, jak sam autor przyznaje, chodzi im o możność praktyki w zawodach wolnych, a nie o naukę. A więc chodzi o polepszenie swego bytu w drugim kraju, rzecz naturalna, kosztem rdzennego społeczeństwa, bo takie było i jest położenie żydostwa w rozproszeniu. Na jakiej więc podstawie moralnej opiera się to żądanie żydów prawa do współzawodnictwa i eksploatacji społeczeństw rdzennych? Nazewnątrz — w imię rzekomo „swobody nauki", faktycznie w imię swobody eksploatacji przez żywioł pasorzytujący, opartej na żydowskiem haśle „liberalizmu".

Hojność na cudzy koszt. Przychodzi żydostwu tem łatwiej głoszenie tego hasła, że brak państwa żydowskiego nie daje możności stwierdzić, w jakiej mierze młodzież żydowska byłaby pod tym względem „liberalną", w przeciwieństwie do młodzieży... „szowinistycznej" spośród społeczeństw rdzennych w krajach Europy. Zresztą, wysoce pogardliwy stosunek ludności żydowskiej w Erec Izrael do swoich rodaków, zwłaszcza z Polski, wskazuje, że „liberalizm" żydowski jest obliczony na cudzy koszt.

Ale nietylko względy materjalne, względy lepszego bytu muszą pobudzać żydów do opanowywania wyższych uczelni. Na tę dążność do zalewu wyższych zakładów muszą wpływać względy kulturalne, warunkujące podbój narodów rdzennych.

Pasorzyt musi bowiem przystosować się do otoczenia, poznać jego duszę narodową. Tem się tłumaczy ten niezrozumiały dla wielu napływ żydów na wydziały romanistyki, germanistyki, polonistyki.

Pasorzyt musi dążyć do wywierania wpływu na kulturę otoczenia, aby umożliwić sobie dobry

w niem byt, będący dla żydostwa bytem — „normalnym", „naturalnym".

Autor teorji względności, prof. Albert Einstein, będący przewodniczącym związku światowego studentów żydów, z powodu t. zw. II-go Kongresu żydowskich związków studenckich, odbytego w Paryżu w 1928 r., pisał m. in. pod jego adresem:

„Czyż nie widzimy przed sobą wzrastającej liczby intelektualnych sił bez zajęcia? U nas, żydów, przybiera to bardzo ostrą formę... Naród żydowski posiada nadmiar sił intelektualnych. Jednak gdy weźmiemy pod uwagę nasze zadania, jak... walkę przeciw wszystkim niesprawiedliwościom, które przeciw nam są czynione — nasze siły naukowe, techniczne, w porównaniu z innemi narodami nie są za duże". („Hajnt" 94, 1928 r.)

Wreszcie pasorzyt musi gromadzić sobie argumenty za słusznością swego pasorzytowania jako rasy „wyższej", „zdolniejszej" od otoczenia, a więc odpowiedniej do... kierownictwa. Właśnie nadmiar tych ludzi z wyższem wykształceniem na wszystkich placówkach życia kulturalnego narodów rdzennych ma służyć i służy za dowód „wyższości" umysłowej żydostwa nad temi narodami, odpowiedniemi jedynie do... pracy fizycznej.

Nachum Sokołow, jako prezes świat. organizacji syjonistycznej, na konferencji w Warszawie w dniu 10 listopada 1933 r., poruszając sprawę odbudowy swego państwa nad Jordanem, mówił:

„Budujemy tam wszystko własnemi rękami. Zarzuciliśmy zasadę, że należy połączyć aryjską pracę fizyczną z intelektem żydowskim". („Hajnt" 276, 1933 r.)

„Sami" zarzucili tę zasadę, ale w diasporze nie mogli jej zarzucić choćby dlatego, że diaspora trwa i nadal ma trwać dla celów tejże odbudowy, jak to wyraźnie podkreślił tenże Sokołow na XIX kongresie syjonistycznym w Lucernie („Moment" 194, 1935, ż. a. t.)

W diasporze—dodajmy nawiasem — żydostwo działa, jak wiadomo, w oparciu o swoich „pomocników" spośród narodów rdzennych. Powyższe słowa o „pracy" aryjskiej i „intelekcie" żydowskim jaskrawo charakteryzują to wysokie „uznanie", jakiem cieszą się ci „pomocnicy" w opinji żydowskiej, wypowiedzianej wśród swoich!..

A dr. J. Thon w maju 1935 r. pisał:

„My, którzy wytwarzamy największy odsetek wielkich ludzi... My, którzy jesteśmy—czy nam to przyznają, czy nie przyznają—przecież prawdziwym narodem wybranym". („Hajnt" 107, 1935 r.)

Wreszcie do opanowywania wyższych uczelni pobudzają żydów względy natury politycznej, względy na umocnienie swojej władzy nad narodami rdzennemi.

Przykład ze stosunków w Polsce.

Krytykując polską młodzież studencką za jej walkę z zalewem żydowskim na wyższych uczelniach i nawołując żydów, aby nadal walczyli o swój wpływ polityczny w Polsce, I. Grünbaum w listopadzie 1931 r. m. in. pisał:

„Hasłem dla wyższych uczelni jest—wprowadzenie dla żydów ograniczeń również na tych wydziałach, gdzie ich niema, niedopuszczenie, aby udział żydów w inteligencji mógł być zaduży. Inteligencja odgrywa przecież kierowniczą rolę w państwie. A ta rola jest przecież i winna być przecież wiecznym monopolem dla narodowości polskiej. Decydującym dla nas momentem jest dodatnie ustosunkowanie się do naszych słusznych żądań w zakresie prawa do pracy i źródeł utrzymania, bytu i rozwoju. Taka jest nasza polityka, ona winna właśnie określać nasze stanowisko. O tem nie wolno nam zapominać". („Hajnt" 261, 1931 r.)

I ludności rdzennej w Polsce nie wolno zapominać, że ona musi bronić się przed tym zalewem żydowskim na wyższych uczelniach. Ten zalew jest jednym z przejawów ataku żydowskiego na kulturę polską. Do tego ataku podnieca groźna sytuacja żydostwa w innych krajach, zwłaszcza w Niemczech i w Rosji. W Niemczech wyrywają wpływy żydowskie z korzeniami. W Rosji żywiołowe objawy antysemityzmu spotyka się coraz częściej. Ten atak żydowski zaś jest i musi być tem silniejszy, że Polska stała się obecnie głównem siedliskiem, główną ostoją żydostwa nietylko w Europie.

M. Justman, znany talmudysta, wyraźnie wzmiankuje o Polsce, jako „twierdzy żydowskości" („Hajnt" 291, 1935 r.)

Tem więcej trzeba się bronić, że ma się do czynienia z żywiołem duchowo wynaturzonym, patologicznym i dlatego tak szkodliwym pod względem wpływów kulturalnych.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

WIZJA POLSKI WIELKIEJ

(Dokończenie)

MONARCHJA nie jest pomysłem z ducha praktycyzmu — i w tem leży słabość wszelkich organizacyj monarchistycznych dla samego tylko monarchizmu, jako formy ustroju. Organizacje te nie mają żadnej racji bytu, żadnej siły moralnej. Monarchja jest koroną systemu, bez treści jest pusta. Dlatego zdobyć się na nią może tylko wielki narodowy ruch ideowy, mający system.

Widziałem kiedyś straszydło — lampę elektryczną z lanego żelaza w stylu gotyckim. Organizacje monarchistyczne dla samego tylko monarchizmu zawsze przywodzą mi na myśl tego dziwoląga. Są równie bezwartościowe i tejże urody.

Wartość monarchji, podobnie jak takiego sprzętu jest nierozdzielnie złączona z wartościami pozapraktycznemi i wymaga proporcji treści i formy. Monarchja nie jest sposobem na ustrój, podobnie jak styl gotycki nie jest sposobem na lampę, ale wyrazem światopoglądu, przetworzeniem wewnętrznego systemu, wewnętrznego ładu na ład zewnętrzny. I dlatego monarchista bez systemu, a przedewszystkiem bez związku z narodem, jest albo politycznym geszefciarzem, albo człowiekiem płytkim.

Na rzuceniu idei monarchji zdobyć się może tylko ruch głęboko narodowy, mający związek z historją i bogatą treść wewnętrzną.

Użyłem tu już porównania z katedrą. Jeszcze raz się do niego ucieknę. Bazylika starochrześcijańska była zrazu gmachem nazewnątrz nieozdobnym, szarym i skromnym. Tylko wnętrze miała rozczłonkowane i strojne. I dopiero coraz doskonalsza, coraz pełniejsza organizacja wnętrza wydobyła się wreszcie na wierzch i zorganizowała stronę zewnętrzną. Zdobność wnętrza

rozniosła się na gmach cały, pokrywając każdą płaszczyznę i załomek muru. Wtedy powstała katedra romańska.

W narodzie tylko wielka treść wewnętrzna, tylko doskonałość i piękno *habitus* narodowego mogą stworzyć wspaniały kształt zewnętrzny. Wielkość narodu mieścić się może także i w skromnych murach bazyliki. Jest to tak — że zostanę przy porównaniach kościelnych — jak ze mszą, która zarówno w pełnej okazałości szat pontyfikalnych i liturgji, jak w skromności polowego nabożeństwa jest tą samą Wielką Ofiarą. Wielkość jej nie leży w szacie zewnętrznej. Ale gdy kto może — stawia na ołtarzu polowym chociaż kwiaty. Płynie to z naturalnej potrzeby serca. Nikogo też nie dziwi, że gdy można, nabożeństwo przybiera się pontyfikalnie.

Naród jest wielki przez swe wartości wewnętrzne, nie przez swe zewnętrzne kształty. Gdy ma wielką treść, znajdzie zawsze godną tej treści formę. Treść ta, *habitus* narodowy, dzięki niezniszczalnej idei narodu, zawsze jest do odbudowania, nigdy nie jest stracona bezpowrotnie, dopóki naród jest żywy.

Istotą zagadnienia jest tu nie zewnętrzność, ale krystalizacja wewnętrzna. Rzeczą ważną jest nie forma ustrojowa, ale człowiek. Czytając nowe dzieło prof. Konopczyńskiego o konfederacji barskiej, widzi się wyraźnie, że upadek Polski nie nastąpił z przyczyny wadliwego ustroju, ale z dezorganizacji wewnętrznej człowieka. To też chodzi tu nie o formę, ale o odbudowę człowieka, o to, aby powrócił dawny, zachodni, rzymski styl Polaka, naszego męża stanu, naszych politycznych poczynań. Jest to zagadnienie skali życia i jego moralnego stylu.

Dlatego sądzę, że warto dziś o tych rzeczach mówić mimo to, że jest wiele naglących praktycznych kłopotów, mimo całej nędzy i kryzysu. Istota bowiem tej nędzy jest natury moralnej, jest kwestją skali życia. To co nam jest dzisiaj najbardziej potrzebne, to atmosfera moralna, poczucie własnej godności jednostkowej i zbiorowej oraz poczucie ładu. Głód nasz—to głód wielkości. Chodzi tu o ukrócenie nonszalancji wobec spraw narodu, przywrócenie szacunku dla nich i poczucia odpowiedzialności, o to abyśmy się czuli nie państewkiem z operetki, gdzie lokaj zostaje wielkorządcą, ale państwem na zachodnią miarę, na miarę dawnej Rzeczypospolitej. Sprawy moralne górują nad materjalnemi. W wielkiej biedzie jedynym ratunkiem jest wysokość tonu duchowego i gdy jest tak źle, że brak już materjalnych środków ratunku, gdy zawodzi skala materjalna, tylko w skali duchowej leży ratunek. Poczucie godności jest niezbędne, zaś odbiera je nędza moralna, a nie materjalna, bo w materjalnej nędzy można jeszcze zawsze zająć dzielną postawę, i naprzekór wszystkiemu nieść głowę wysoko, zachowując poczucie godności.

Dlatego w takich chwilach jak obecna nie wystarcza choćby najmądrzejszy program polityki praktycznej. Potrzeba przedewszystkiem wizji wielkości, ku której możnaby głowę z nad nędzy podnosić. Tutaj zaś nie wystarcza powiedzieć sobie, że Polska ma być wielka, trzeba wizję tej wielkości sprecyzować, tak albo inaczej. Chodzi słowem o to, by sobie ideję narodu unaocznić. Wżyć się w najgłębszą jej treść i tę uczynić przewodniczką życia. W narodzie zaś tak jest już zawsze, że nie znosi on fikcji, a szuka konkretu. Jest on przytem tworem historycznym i wizja jego musi być historyczna.

Ma to być wizja wielkości. I potrzebą naszego poczucia godności własnej jest, aby zaczyny tej wielkości były nasze a nie obce. Mamy własną jej miarę, własny jej kształt, własną próbę kruszcu. Nie potrzebujemy tedy przyrządzać naszej wielkości na sposób rewolucji francuskiej, na sposób Hiitlera czy Mussoliniego. Musimy i możemy budować ją tylko po polsku. Polska jest wielka, dlatego, że jest Polską, a gmach tej wielkości wznosiły pokolenia i nie dopiero my mamy ją budować. Mamy tylko być jej posłuszni. Wznosi się ona nad nami strzeliście i niebotycznie, ale najwyższej wieży nie widzi się, patrząc w ziemię. Trzeba tedy wzrok podnieść w górę, nie zaś grzęznąć w teraźniejszości, w małoważności spraw codziennych i prywatnych. Obejrzeć się, że nie jesteśmy na targowisku, lecz w kościele.

To jest istota zagadnienia. Monarchja to kwestja stroju. Widząc, że ma się zasiąść za straganem, nie czuje się potrzeby, aby ubranie nasze nie było niechlujne. Ale gdy idę do kościoła, muszę się przybrać inaczej. Otóż monarchja to kwestja stroju wewnętrznego. Gdy się zobaczy wielkość idei narodu — to staje się naglącą potrzebą, by swój wewnętrzny strój nastroić na ton wysoki. Idea narodu ma wielką siłę przyciągania, dzięki której naród wyrasta ku górze, dążąc do tej sfery, w której bytują wartości ponadmaterjalne. We wzroście tym wykształca linje swej budowy. Te linje, te konstrukcyjne zręby są jego dorobkiem, są szczeblami, na których można budować dalej, a jeśli się z nich zstępuje,—to za cenę wielkości i historycznej prawdy narodu.

*

Mówiąc, że monarchja to kwestja stroju, formy — nie chcę twierdzić, że w tem się wyczerpuje. Forma zrośnięta jest z treścią w sposób nierozdzielny, zatem i monarchja ma pewne konsekwencje w praktyce narodowego życia. To też pewne zasady tej praktyki same przez się wiodą ku monarchji.

Monarchja, gdy się na rzecz patrzy z ustrojowego punktu widzenia, jest jednem z rozwiązań zagadnienia hierarchji. Społeczność zorganizowaną hierarchicznie można sobie wyobrazić jako bryłę wznoszącą się w górę w kształcie piramidy lub stożka. Zasada elitaryzmu bowiem, oparta w swej mierze o stopień udziału w twórczości narodowej, powoduje ten stan rzeczy, że wysokość warstwicy społecznej w hierarchicznej drabinie jest w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do liczebności tego nawarstwienia. W ten sposób przewaga funkcjonalna szczebli wyższych równoważy się przewagą liczebną niższych. Otóż społeczność zorganizowana w myśl tak pojętej hierarchji samym kształtem swej figury dąży do zakończenia szczytu w jednym punkcie, podobnie do stożka. Takim właśnie punktem jest instytucja króla.

Zestawmy to z pojęciem *habitus* narodowego. Skoro o przynależności do szczebla hierarchicznego decyduje *habitus* narodowy, to sprawa nabiera specjalnego znaczenia. *Habitus* osiąga się nie środkami mechanicznemi, ale przez związek z biegiem życia narodu. Możnaby powiedzieć, że naród rozwi-

ja swój system hierarchiczny mocą swego organicznego rozrostu, nie zaś drogą zabiegów mechanicznych.

Otóż monarchja ma za sobą ten walor, że sfery naturalnego wzrostu narodu i jego świadome, kierujące czynniki władzy dzielą się w tym ustroju w sposób naturalny—o tyle oczywiście, o ile ustrój monarchiczny jest ustrojem historycznym. Stwarza to naturalną więź między temi sferami — utrudnia rozdźwięk między niemi, rozstrzelenie kierunków dążenia narodu w jego sferach biernego wzrostu i świadomych zabiegów. Ponadto jest to więź łącząca dzieje z teraźniejszością.

Ustrój historyczny, żywy kontakt z przeszłością, i dzięki temu też przywodzi na oczy dawne a bliskie wzory godnych mężów stanu i godnych politycznych poczynań. Wzory, które uczą pokory wobec spraw narodu i dają świadomość odpowiedzialności za jego losy, a to są bodaj najpilniejsze potrzeby.

HENRYK EYSYMONTT

UWAGI DO „WIEJSKCH PROBLEMÓW"

IV

WYŁĄCZAJĄC — w sensie omówionym w poprzednich rozdziałach — „dworską" tradycję z zakresu narodowego etosu, wypada zaznaczyć, że sama idea szlachectwa, jako instytucji rycerskiej, pojętej w sensie zaszczytnego obowiązku obrony ojczyzny, musi pozostać nietknięta. Ten zaszczyt przelania krwi określano wyrazem *nobilitas*, czyli szlachectwo. Taka krwawa ofiara ma wartość bezcenną, krew taka musi być ze swej istoty szlachetna, bo jej przeznaczeniem — ofiara w obronie dobra najszlachetniejszego w porządku doczesnym — ojczyzny. Instytucja takiego szlachectwa ma swę genezę w epoce piastowskiej i związana jest jaknajściślej z ówczesną organizacją siły zbrojnej, opartej na prawie rycerskiem: wzamian za obowiązek służby wojennej, odbywanej osobiście i na koszt własny, każdy spośród ludności wolnej mógł otrzymać ziemię *iure militari* (prawo własności ziemskiej — obowiązek wojenny), z utratą własność ziemskiej wygasał i obowiązek rycerski, tak że element rzeczowy w tej instytucji — ziemia, góruje nad osobowym: rycerzem; rycerz o tyle jest rycerzem, o ile jest właścicielem ziemi, stąd koło rycerskie nie jest zamknięte, nie ma cech dziedziczności, ani wyłączności. Taki *nobilitet*, oparty na tak pojętem prawie rycerskiem, nie ma też w sobie nic dworskiego, wchodzi do etosu narodowego jako trwała wartość narodowa, jest własnością wszystkich Polaków, po wszystkie czasy.

Nobilitet staje się dworskim dopiero z tą chwilą, kiedy stosunek elementu rzeczowego do osobowego odwraca się. Rycerstwo przyjmuje herby (naśladownictwo niemieckiego — *Erbe*), czyni szlachectwo dziedzicznem na zasadzie już samego faktu urodzenia, zamyka swe koło w stan szlachecki, który z czasem dzięki swej sile i sprzyjającym warunkom sięgnie po władzę w państwie, uzyska ją we własnym interesie i zawaruje swą pozycję przywilejem. To już dwór: tradycja ziemiańska, a nie rycerska, prawo i przywilej, a nie obowiązek, podstawa każdego etosu.

Nie jest rzeczą przypadku, że symbolem Obozu Narodowego jest właśnie rycerski miecz Chrobrego, a nie np. Baranie Rogi dworu ziemiańskiego. Obóz ten sięga do tradycji rycerskiej państwa Piastów, bo tam właśnie widzi prawdziwy etos narodowy. Idea Polski narodowej wymaga oparcia objektywnego porządku prawno-państwowego na zasadzie przedewszystkiem obowiązku, a nie podmiotowego prawa publicznego, refleksu deklaracji praw człowieka i obywatela. Zasada ta żąda od każdego członka narodu postawy czynnej, jeśli nie ma go dotknąć *capitis deminutio*. Miecz rycerski Piasta ma znaczenie wychowawcze niemałe dla etnosu, a chroni warstwy oświecone przed degeneracją polityczną.

Tą uwagą kończę rozważania o etosie narodowym, aby nie być mylnie zrozumianym przez przyjaciół politycznych.

*

Ostatniem zagadnieniem „wiejskich problemów" — to kwestja kultury świeżej inteligencji ludowej, zarówno świeckiej jak i duchownej. Stanowisko autora co do tego nie jest dwuznaczne. W jednej i drugiej upatruje brak kultury, bo kultura— to „krew pańska". Wprawdzie tę w „Istocie zagadnienia" traktuje już w znaczeniu przenośnem, ale to w zasadzie nie zmienia postaci rzeczy. Czy warto wogóle w tej kwestji zabierać głos? Sądzę, że tak, gdyż ona łączy się z błędnem pojęciem narodu i etosu narodowego, które autor wyprowadza z dworu. Kto nie jest z dworu, ten tradycję tego, tj. kulturę może przyswoić sobie dopiero po przesiąknięciu nią szeregu jego przodków. Przyznam się, że tego pojąć nie mogę. Powiedzmy, syn chłopski i szlachecki pobierają nauki w jednym zakładzie. Dlaczego pierwszy z nich nie może pojąć i przejąć się zasadą klasycznego piękna, dobra i prawdy narówni z drugim, choć przodkowie ich obu nigdy z duchem helleńskim nie zetknęli się? Czem wytłumaczy p. Frycz tak potężne akty strzeliste Fałata, czy Kasprowicza?

Rzecz trzeba inaczej postawić. Jeśli chodzi o wiedzę i cnotę, to źródła ich dla obu chłopców są wspólne: zakład naukowy. Ogniska domowe jednego i drugiego w naszym typie cywilizacyjnym naogół nie odbiegają od siebie Obydwaj nauki zdobywają poza domem, a cnota chaty wiejskiej, jeśli nie jest nawet czystsza, to w każdym razie dworskiej nie ustępuje. Jest to fakt notoryczny, że chłop w swym zdrowym rdzeniu kieruje się bez zastrzeżeń normą postępowania heteronomiczną, płynącą ze źródła nadprzyrodzonego; taka norma etyczna objektywna, wieczna i niezmienna, przenika całokształt jego stosunków życiowych i przedstawia najpewniejszą rękojmię ładu i porządku społecznego. Wyznawany i stosowany przez chłopa etos stanowi istotny element jego kultury duchowej, która wcale nie jest tak ubogą, i nie bez wartości, jak to widać choćby z t. zw. motywów ludowych w sztuce. Chłop

więc, jak dotąd, żyje własną twórczością (w przeciwieństwie do dworu), bo nie jest konsumentem dóbr kulturalnych, tworzonych poza nim, choćby dlatego, że nie ma książkowego wykształcenia, a natomiast jest niewysychającem źródłem dla natchnień do tworzenia w formach wyższych. Mądrość jego stała się wprost przysłowiowa, skoro inteligentom pomaga się w rozumowaniu — „weź na chłopski rozum."

Z takiego to środowiska wychodzi świeża inteligencja ludowa. Mało ma ona rzeczywiście w sobie z dworu, gdyż stamtąd nie wiele ma do wzięcia. Wszystko bierze ze skarbca kultury narodowej, a ta w przenikaniu nie zna granic ilościowych; chodzić tu będzie zawsze tylko o jakość, bo śmiecie trzeba wymiatać zarówno z chaty jak i z dworu.

Osobne miejsce wypada poświęcić duchowieństwu wiejskiemu chłopskiego pochodzenia, choć ono jest tylko częścią owej świeżej inteligencji ludowej. Autor stwierdza „przeraźliwie niski jego stan", przypisując go oczywiście temu pochodzeniu i przeciwstawia mu „pańską krew" w Kościele, ile to ona znaczy i jakie to możliwości apostolskie ma przed sobą.

Na wstępie zaraz zaznaczam, że p. Frycz potrzykroć ma słuszność, domagając się księży typu ewangelicznego. Można mu tylko poczytać za zasługę to jego męskie żądanie, a duchowieństwo, niech mi to wybaczy, musi to wiedzieć i z tem się liczyć, że laicy pragną w niem widzieć mężów świątobliwych, wolnych od marności tego świata i wpatrzonych wyłącznie w cel ostateczny. To jest ich posłannictwo. Mnie interesuje w tej chwili ów rzekomo „przeraźliwie niski stan" ich jako duchowieństwa chłopskiego, a więc „nie wysokiej próby", bo to łączy się z autorytetem jego na wsi.

Pod przeraźliwie niskim stanem rozumiem stan intelektualny i moralny. Otóż ksiądz chłopski, że użyjemy określenia p. Frycza, wychodzi z środowiska chłopskiego, które już scharakteryzowałem. Intelekt chłopski i jego moralność nie dadzą się postawić pod znakiem zapytania. Nadto żarliwość religijna w tem środowisku nie wygasła, przemawia zatem domniemanie na rzecz tego duchowieństwa, że poświęca się swemu stanowi *propter Jesum*. Jeżeli dzieje się inaczej, to trzeba te wypadki traktować jako wyjątki. A w każdym razie zarzut *propter esum* mógłby być uzasadniony wtedy tylko, gdyby inne zawody przed młodzieżą chłopską były zamknięte.

Jeżeli wogóle mamy uzależniać wartość duchowieństwa od jego pochodzenia, to trzeba przecież sprawdzić ową pańską krew w Kościele, tak mocno podkreśloną przez p. Frycza. Może przez taką metodę porównawczą uda się nam oderwać duchownego od wszelkiej krwi.

Nobilitet duchowny w Polsce ma kartę niepośledną; w epoce Piastów duchowieństwo miało znaczenie olbrzymie, skoro potrafiło strącać i powoływać na tron książąt dzielnicowych, a zwłaszcza wielkich książąt krakowskich. Ale to jego powodzenie było raczej powodzeniem możnowładztwa polskiego, którego czuło się częścią integralną, znaczenie tedy swoje zużytkowywało często w interesie tegoż możnowładztwa, a więc i swoim, a nie Kościoła (Balzer). Skoro szlachta doszła do głosu w państwie, wystarała się o przywilej (1414), na którego podstawie kapituły stanowiły, *ut ad ecclesiam in praelatos et canonicos nonnisi nobiles vel docti viri recipiantur*. W praktyce jednak plebeje nawet ze stopniem doktorskim na te stanowiska nie byli dopuszczani. Czy działo się to *propter Jesum*? Ale nie dość na tem. Uchwałą z r. 1496 szlachta przyjęła zasadę, że wogóle „prebendy duchowne służyć winny za chleb synom szlacheckim" (Balzer). Czy nie wyraźnie *propter esum?* A kiedy zabrakło miejsc i trudno było dostać się *in praelatos et canonicos*, to szlachcic dobijał się kręscytywy na Rusi — ihumeństwem lub władyctwem (Łoziński). Nie wspominam już o znanych zatargach duchowieństwa ze szlachtą o dziesięcinę, ani o Kossakowskich czy Massalskich, znanych jurgieltnikach rosyjskich, którzy przecież nie byli pochodzenia chłopskiego. Zatem czy taka to krew pańska „ma zaszczyt przed gminem"? Jakież w tych warunkach były możliwości apostolskie dla pańskiej krwi?

Wprowadzanie do rozumowania kategorji krwi, jak widać, niczego nie wyjaśnia, dlatego należy brać pod uwagę człowieka jako takiego, i o nim tylko mówić. Słusznie zauważa ks. prałat Krysiak, że chłop nie pyta o drzewo genealogiczne księdza, i każdy ksiądz, o ile jest księdzem, cieszy się należnem uznaniem.

(D. n.) JÓZEF STARYSZAK

ERRATA: w drugim wierszu od końca uwag III zamiast: chłop wierzy mu, winno być: chłop mierzy wzwyż.

PROF. IGNACY CHRZANOWSKI

OSOBOWOŚĆ NAUCZYCIELSKA

W LUTYM roku bieżącego minęło siedemdziesiąt lat życia prof. Ignacego Chrznowskiego, w tem czterdzieści siedem lat pracy naukowej, czterdzieści z okładem — pracy nauczycielskiej w szkołach średnich Warszawy i na Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie. Okres pracy profesorskiej Ign. Chrzanowskiego należy już do przeszłości. Nie da się tego powiedzieć o jego działalności naukowej; owszem, praca naukowa Ign. Chrzanowskiego od lat paru wykazuje tendencję zwyżkową, a to odkąd postarano się o zdjęcie z jego bark umiłowanych przez jubilata obowiązków profesorskich. A więc, jeżeli chodzi o pewien rzut oka wstecz, można sobie w chwili obecnej pozwolić na pewne syntetyczne spojrzenie na Ignacego Chrzanowskiego jako na nauczyciela, skoro Ignacy Chrzanowski jako uczony może zaprotestować przeciw wszelkim próbom syntez naukowych jego działalności: basta, jeszcze nie pora, powieść nie skończona.

Słusznie tedy uczniowie krakowscy Chrzanowskiego, zebrani w Krakowie w dn. 12 lutego, r. b. na uroczystości uczczenia swego profesora składali mu hołd przedewszystkiem jako swemu

nauczycielowi; słusznie też „Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego“, zawierająca prace historyczno-literackie jego uczniów, otwiera się słowem wstępnem Franciszka Bielaka, portretującem to, co dla uczniów Chrzanowskiego było najistotniejszem, a mianowicie jego mocną a żywą osobowość.

Tą właśnie osobowością, żywą, bujną, żywiołową niemal, oddziaływał bez przerwy w czasie swej profesury krakowskiej na szerokie koła swych słuchaczów; tkwiła w niej jakaś siła atrakcyjna, która w sposób nieprzezwyciężony oddziaływała na każdego, kto w trakcie swych studjów naukowych wchodził z nim w bliższy kontakt. Jakiemiż składnikami swej osobowości oddziaływa na otoczenie? Zadając sobie takie pytanie, jestem w prawdziwym kłopocie. Nie wszystko bowiem daje się zanalizować, wymierzyć i oddać w słowie. Zawsze po dokonanej analizie pozostaje jakaś większa reszta, której w żaden sposób nie zdoła się przekazać czytelnikowi. Ta reszta, typu niewymiernego, jest charakteru irracjonalnego. I o tej nie będę usiłował pisać.

Wymierną jest przedewszystkiem przedziwna „otworzystość“ natury Chrzanowskiego, która nie skrywała przed interlokutorem niczego, która mu się w całej pełni i w całej lojalności ujawniała. Ign. Chrzanowski nie znał żadnych tajemnic swej bogatej natury wobec swego słuchacza. Sądzę, że Chrzanowski stał się szczęśliwym dziedzicem dobrej naszej tradycji, która osadziła w nim to, co wielowiekowa polska kultura społeczna wypracowała najcenniejszego w Polaku społecznym: łatwość szczerego i jasnego kontaktu z otoczeniem; dzięki właśnie temu dziedzictwu skarby umysłu i serca Chrzanowskiego łatwo stawały się dostępne dla każdego, kto w ciągu swych studjów chciał i umiał z nich korzystać.

Jest Polakiem. A właśnie obok tego zjawisko zadziwiające w osobowości Chrzanowskiego, wcale niepolska, nietypowa wytrwałość w pracy. Sam z niebywałą konsekwencją realizuje klonowiczowskie, o którem sam pisze, zawołanie: pracować do zdechu. Nie dość na tem. Ten człowiek pracy posiada tajemnicę pociągania za sobą swym przykładem słuchaczów. I nie jest przesadą powiedzenie Bielaka, że pracowitością zarażał swych uczniów. Tak było istotnie. Ale było jeszcze więcej. Zarażał ich mocną wiarą w to, co się robiło i mówiło, bowiem nie znał chytrego przedziału myśli i uczucia od słowa i czynu.

Potrafił dokonywać ze słuchaczami jeszcze większych dziwów: wlewał w nich poczucie własnej mocy, wiary we własne siły, zdolne pokonywać wszelkie nasuwające się trudności naukowe. A kiedy się pod jego dyrektywą i hypnozą niejako zdołało przełamać zwycięsko trudności i przeszkody i kiedy się przyszło do niego z rezultatem pracy i, oczywiście, podziękowaniem, słyszało się słowa: pan jedynie to wszystko zrobił, pańską jedynie zasługą jest rzecz wykonana. I tu rzecz doniosła: słuchacz wierzył, że tak jest. To też my wszyscy, uczniowie Ignacego Chrzanowskiego, nawet ci, a może zwłaszcza ci, którym mało życzliwe losy życiowe nie pozwoliły na dłuższe dobrodziejstwo obcowania osobistego z twórczą i żywą myślą Chrzanowskiego, my wszyscy wiemy dobrze, co i ile mamy mu do zawdzięczenia.

To był nauczyciel wyjątkowy, nauczyciel z Bożej łaski, w którym moralna struktura jego osobowości wybija się na plan pierwszy i wytwarza wokół siebie specyficzną atmosferę, ogarniającą i wchłaniającą w siebie coraz to szersze koła słuchaczów.

Oczywiście, że podkład etyczny osobowości prof. Chrzanowskiego ogarnąć musiał jego sferę intelektualnych zainteresowań, upodobań i tendencyj. Ci wszyscy, którzy w dalszej przyszłości będą pisać o Chrzanowskim—uczonym, będą musieli dla wytłumaczenia naukowej jego działalności sięgnąć do źródeł jego osobowości, bo ona im wyjaśni wiele, a może i wszystko. Właśnie jego osobowością tłumaczy się, że od początku do końca swej arcybogatej twórczości naukowej Chrzanowski jest skrzętnym poszukiwaczem i budowniczym wartości. W zjawiskach polskiego życia literackiego dostrzega przedewszystkiem polskie wartości moralne, które są podstawą wartości kulturalnych naszego narodu. Literatura dla niego to nietyle miałkie formalizowanie i estetyzowanie, do którego—wbrew rzeczywistości—starają się sprowadzić ją obecnie niektórzy współcześni historycy literatury.

Niedarmo na wydaniach „Historji literatury niepodległej Polski” Chrzanowskiego, widnieje *motto* z Brodzińskiego, ustalające wartość literatury polskiej jako „moralnego bytu“ narodu, tej literatury, która nie była tylko „śpiewaniem i muzyką, po której się słuchaniu nic nie zawiąże“. Mocne, oficjalne wyznanie wiary naukowej składa Chrzanowski w wykładzie wstępnym, wygłoszonym w Uniwersytecie Jagiellońskim dn. 30 maja 1910 r. „O literaturze polskiej“. „Literatura polska była i jest nadewszystko środkiem i objawem walki o byt narodowy”. „Wiara w świętość i najwyższość ideału moralnego, głębokie przekonanie czy przeczucie, że wszystkie bez wyjątku ideały ducha ludzkiego, religijne i polityczne, społeczne i rodzinne, intelektualne i estetyczne, prędzej czy później uznają nad sobą zwierzchnictwo ideału etycznego,—ta wiara w żadnej literaturze tak silnie nie dźwięczy, jak w polskiej”. Ten sam konsekwentny, jak zawsze i wszędzie u prof. Chrzanowskiego, pion etyczny przenika ostatni zbiór jego prac naukowych „Literatura a naród”.

W jakim celu piszę o tem wszystkiem? Nie poto, aby się zuchwale porywać w krótkiej notatce na charakterystykę twórczości naukowej Chrzanowskiego i jej aspektu moralnego. Piszę w tym celu jedynie, aby stwierdzić, że zbiór studjów jego uczniów, o którym była mowa wyżej, jest wyrazem ideologji naukowej prof. Chrzanowskiego, że wszyscy niemal „z niego są”, choć każdy na swój sposób, boć przecież nieraz się już mówiło, że prof. Chrzanowski nikomu nie narzucał swego stanowiska. Postępował, aby raz jeszcze odwołać się do Bielaka, jak „troskliwy ogrodnik, pielęgnujący rozmaite rośliny, nie siląc się jednak, by na nich szczepić własne ulubione odmiany”.

„Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego” jest właściwym hołdem, złożonym profesorowi przez jego uczniów. Bliższa ocena książki wybiega poza bezpośrednie i zamierzone ramy artykułu niniejszego, to też pracę tę wykonać należy kiedyindziej.

ALEKSANDER KRASINIECKI

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

4. Do J. B. Zaleskiego.

[Paryż, 16 lipca 1851].

Pana Józefa proszę, aby raczył wiadome Ci kilka wierszy włożyć w kopertę i zaadresować Koźmianowi (i wrzucić w pudło pocztowe), który ma tam inne, więc trzeba, aby i te zabrał. Pisać niema co. Już wiele tak odebrał, nie obrazi się odemnie.

Za trzy dni do widzenia.

Najserdeczniejszy sługa wasz

C. K. N.

[Adres:] Monsieur J. B. Zaleski à Fontainebleau, rue St. Honoré 23.

[Stemple pocztowe:] Paris, 16 Juil 51. — Fontainebleau, 17 Juil.

Uwaga wydawcy. Autograf w Bibl. Jagiel., wśród korespondencji J. B. Zaleskiego. — Koźmian Jan, redaktor *Przeglądu Poznańskiego*.

5. Do księcia Adama Czartoryskiego.

[1852]

Mości Książę!

Lat temu dwa miałem honor wstawić się za młodym znajomym moim architektem, prostym żołnierzem z Legjonu demokratycznego z Włoch, który wracał na on czas do Warszawy, gdzie dziś jest i pracuje. Podobało się J. O. X. nie odmówić pomocy w przedsięwzięciu do tyla ostatecznem. Przypominam sobie, że udałem się z tą prośbą po wyczerpnięciu pierwej wszystkiego, co w osobistej mocy mojej było.

Dziś w podobnem położeniu stawia mnie już oficer wyższy nie onego Legjonu, ale z tegoż samego wojska.

Przedsięwzięcie p. Czajkowskiego jest również ostateczne, to jest, iż w temże wojsku na prostego żołnierza wstąpić pragnie. Przedsięwzięcie to ze wszech miar słuszne, jeżeli nie więcej niźli słuszne, objaśnienia nie potrzebuje, potrzebuje pomocy raczej.

Obiecałem p. Czajkowskiemu pisać do J. O. X-a i dlatego czynię to, jak—przypominając sobie, iż w podobnem położeniu prośba moja skutek odebrała—postanowiłem to uczynić.

Jeżeli to zainteresowanie się człowiekiem 1-o nieszczęśliwym, 2-o zakwestjonowanego stanowiska moralnego, może być niekorzystnem dla inteaesującego się, to znowu położenie moje takie jest, że w inny sposób mało dobrego uczynić mogąc, nie chcę sobie tej drobnej odmawiać przyjemności.

W każdym razie, jeżeli to wchodzi w obręb przyjętych konsekwencyj, proszę o odpowiedź.

1852 lata. Avenue Montaigne 14.

C. K. Norwid.

Uwaga wydawcy. List zachował się w autografie w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, rkp. nr. 5655; drukowany po raz pierwszy w miesięczniku *Głos*, Poznań 1935, nr. 1. Trudno określić, o którym Czajkowskim tu mowa; Krosnowski (*Almanach*, 66) wymienia na emigracji trzech oficerów tego nazwiska. Z nich Stanisław, b. wychowanek uniw. warsz., podporucznik czwartaków, mieszkał w Paryżu. Dodajmy, że Norwid wstawia się za nim, sam będąc w ostatecznej potrzebie, która go niebawem popchnie na rozpaczliwą emigrację do Ameryki.

BOGU RODZICO!

NIE opuszczaj nas! Nie opuszczaj nas! Matko, nie opuszczaj nas! — Straszny nad nami czas się iści... Obrywa nas z czucia jak z liści! Mrozi nas lodem jak zima, morzy nas głodem... Znikąd pomocy nie mamy! — Jakże wytrwamy?... Nie opuszczaj nas! O nie opuszczaj nas!

Rzucimy próżne rozumy i wszystkie puste dumy naszej starości. Niech nam już tylko płomień Twych oczu zaświeci i Twej matczynej miłości... Bo my jesteśmy także, my jesteśmy także czyjeś dzieci!

Z Tobą pójdziemy! Z Tobą! Przez twarde serca głody, przez ślepych myśli noce, przez mróz, przez niedostatki i niepogody... przez rozpacz naszych win, przez smutki niepocieszone... i wiem—wiem—wiem, że wyprowadzisz nas na tamtą stronę!

I wiem, i wiem, i wiem, że nietylko w lazurze, lecz także tu na ziemi, gdzie jesteś tłumaczem Boga i sercem danem naturze — że także na tej ziemi, po której Twe święte stopy chodziły między biednemi, pomożesz żyć i rosnąć i w niebo Chrystusowe iść — Twojemu narodowi... Bo z Tobą Panno święta, bo z Tobą Panno uboga, nie straszna nam żadna trwoga!

Bogu Rodzico, Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo! Usłysz nas, pomóż nam, byśmy nie byli zmożeni przenigdy mocą niczyją! — Prowadź nas, byśmy wytrwać umieli jako drzewiej, — byśmy się też znowu nauczyli miłować! Prowadź, abyśmy z Tobą umieli być weseli, że jesteśmy, bracia, między sobą, — i byśmy sobie zawsze umieli: wiary dochować!

Bogu Rodzico, Dziewico! Napełnij myśli nasze... Abyśmy ku dobru z chuci byli zawsze twardzi i luc!—a nietylko w boju, ale w pokoju i zawsze! — Ażeśmy Twoje rycerstwo, nalej nam w serca męstwo! — Aby z nas wyszła moc i aby z nas wyszła siła, świeć nam, jakeś ojcom naszym świeciła!

A Któraś Twego Syna w potrzebie na śmierć męczeńską dała, — prosimy Ciebie abyś w godzinie śmierci przy mężnych ludziach stała!

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

W związku z uchwałą Ogólnopolskiego Zjazdu Bratniej Pomocy w Krakowie, który za patronkę młodzieży akademickiej obrał Matkę Boską Częstochowską, podajemy fragment mającego ukazać się niedługo drugiego z „Hymnów Strzelistych" Michała Pawlikowskiego p. t. „Różaniec".

NA WIDOWNI

70-lecie Ignacego Chrzanowskiego. — Jego ostatnia książka „Literatura a naród". — Chrzanowski i Maurycy Mochnacki. — Literatura jako instytucja i jako motyw ustroju narodowego. — Pogrzeb Seweryna Goszczyńskiego, jako symbol schodzącego romantyzmu.

DOWIEDZIAŁEM się *post factum* o uroczystości, jaką zgotowano w Krakowie profesorowi Ignacemu Chrzanowskiemu z powodu 70-ej rocznicy jego urodzin. Pragnąc przyłączyć się wraz z czytelnikami „Myśli Narodowej" do tych, którzy w tym czasie składają mu wyrazy uznania, podzielę się w paru słowach wrażeniem, jakie na mnie zrobiła ostatnia książka zasłużonego dla kultury polskiej uczonego.

Mamy przed sobą jedną z tych rzadkich książek, które się czyta z upodobaniem ze względu na sympatję dla autora i w równej mierze na wartość przedmiotową jego pracy; jest to dzieło p. t. „Literatura a Naród. Odczyty, przemówienia, szkice literackie".

Składa się na tę księgę bardzo ważną, bo orjentacyjną w zakresie historji literatury polskiej, 40 pozycyj różnej daty, ale tak dobranych, że całość stanowi jednolitą rozprawę, bogato udokumentowaną i uzasadnioną wyłącznie na temat specyficznego stosunku literatury polskiej do ducha narodu, tworzącego dzieje. W wykładzie tym autor zawarł nietylko zdobycze swej głębokiej wiedzy, ale i wyznanie wiary, która mu przyświecała w długoletniej pracy, jako badaczowi i pedagogowi.

Mieszczą się w tej księdze rozprawy Chrzanowskiego z lat jego profesorskich od r. 1910 do r. 1925. Jego wykład wstępny „O literaturze polskiej", wygłoszony przy obejmowaniu katedry krakowskiej, był programowy, a program jego daje się streścić w paru słowach Mickiewicza o literaturze polskiej, że „wzrosła i zakwitła pod życiodajnem tchnieniem miłości ojczyzny". Tą wiarą w życiodajność literatury i miłością dla niej przepoił Chrzanowski dzieło swego życia.

Rzecz ciekawa, że przed stu zgórą laty ten sam tytuł „O literaturze polskiej" nadał swej książce Maurycy Mochnacki. Rozprawa jego tyczyła literatury XIX wieku. Chrzanowski dowód swój oparł również na literaturze tego wieku z tą różnicą, że co dla Mochnackiego było tego wieku zapowiedzią, dla Chrzanowskiego jest już faktem dopełnionym. Między nimi leży obszar historyczny romantyzmu, który w całej pełni tę prawdę zamanifestował, mianowicie, że literatura jest funkcją życia duchowego narodu, dzięki której naród dochodzi do „uznania siebie w swojem jestestwie". Mochnacki, wykończywszy książkę „O literaturze polskiej", właśnie według tej tezy pomyślaną, oddał rękopis do drukarni i tego samego dnia poszedł do powstania.

Chrzanowski w sto lat potem, w rozprawie pod tym samym tytułem zastanawia się nad przyczyną, która sprawiła, że cała literatura polska przez pięć wieków, nietylko w dobie romantyzmu, oparcie swoje miała w dogmacie patrjotyzmu. „Czemże się to tłumaczy?" — zapytuje Chrzanowski. — „Czy może samą tylko psychiką polską? Czyżbyśmy byli największymi patrjotami na Bożym świecie?" I odpowiada: „Twierdzić tak byłoby samochwalstwem i nieprawdą. Większy, niż gdziekolwiekindziej patrjotyzm literatury naszej ma swoje źródło głównie w zewnętrznych warunkach dziejowych, w smutnej rzeczywistości. Bo pamiętajmy, że już w wieku XVI, w epoce największego rozkwitu literatury staropolskiej, rzeczywistość nasza była smutna". „Od tak dawna niedola jest w Polsce stanem stałym, nie czasowym, jak u innych szczęśliwych narodów. Oto, dlaczego patrjotyzm jest w naszej literaturze nietylko silniejszy, ale i stalszy, oto dlaczego nigdzie indziej literatura nie była i nie jest w tym stopniu, co u nas, środkiem walki o byt narodowy, dlaczego nie była i nie jest tak nawskroś polityczna, (str. 34).

Zupełną ma rację prof. Chrzanowski, że ów patrjotyczno-polityczny charakter literatury polskiej nie jest jakąś osobliwością psychiki naszej, lecz jest wytworem dziejowym. Wprowadziłbym jednak małą korekturę w pojmowaniu tej przyczyny. Nie była ona tak negatywna, tkwiła bowiem w warunkach pozytywnych życia polskiego, mianowicie w ustroju społeczno-politycznym Rzeczypospolitej szlacheckiej. Te były istotnie osobliwe, ale jest rzeczą sporną, czy były „niedolą". W każdym razie przez swoją paradoksalność ujawniły prawdę socjologiczną, że ustrój państwa z natury rzeczy sięga w głąb duszy obywateli. Pisarz polski (szlachecki) czuł się odpowiedzialnym za państwo, literatura była instytucją, stąd nałóg zajmowania się sprawami dobra publicznego. Pisarz polski był senatorem (bez dyjet) z poczucia dobrowolnego służenia państwu. Nic dziwnego, że po rozbiorach i upadku państwa doprowadził aż do mistycyzmu swoją żarliwość patrjotyczną, aby państwo zastąpić swoim rządem dusz. Być może— było w tem kapłaństwie literatury trochę pierwotności ustrojowej, zamało zróżniczkowania tej pierwotnej instytucji, kiedy to kapłan sprawował i kult religijny nad gromadą, i wieszczem był i poetą; ale w każdym razie błogosławiony jest ten stosunek wiernej zgodności literatury z bytem narodu, stosunek świadczący o wielkiej żywotności cywilizacji polskiej.

Kto spojrzy na zbiór studjów Chrzanowskiego z tego punktu, dozna wielkiego wzruszenia, bo go one wciągną w krąg misterjum dziejowego duszy polskiej i zastanowić się zmuszą nad stanem obecnym literatury i dalszą ewolucją tego intymnego stosunku między narodem a jego twórczością.

Nikt bodaj z naszych historyków nie ma lepszych uprawnień do zajmowania się kwestją dziejów twórczości narodowej, jak Chrzanowski. Wychowany w Warszawie i tu w młodości swojej, jako pisarz i wychowawca, budzący społeczeństwo, zupełnie pozbawione możności radzenia o dobru publicznem, skupił w sobie ów instynkt odwieczny literatury i jemu dał upust w wykładach na Uniwersytecie Jagiellońskim. Podziwiać należy w tych wykładach (część ich nam nieznaną zamieścił obecnie w książce) jasność, z jaką przeziera dzieje myśli polskiej i rozległość erudycji.

Z przedziwną wirtuozją dobywa z tej struny głębokie tony. Po przez pięć wieków od Długosza do Dmowskiego, jako pisarza politycznego, nie traci z oczu tego motywu — czy to będzie poezja w twórczości Kochanowskiego, Mickiewicza

i Krasińskiego, czy hymn narodowy, czy traktat polityczny.

Między hymnem narodowym od Bogurodzicy, śpiewanej pod Grunwaldem, do mazurka Dąbrowskiego, zrodzonego na ziemi włoskiej, zdawałoby się, niema drogi, a jak pięknie jest ona wyłożona w wykładzie Chrzanowskiego, rozpoczynającym jego książkę! Stosunek pieśni do serca rycerskiego ten sam, choć tam była starokościelna, a teraz już świecka, świadoma siły narodu. Kto zrozumie dzieje takiej pieśni, ten z politowaniem potraktuje pomysły pokolenia, które teraz w drodze konkursu zamierzało dojść do nowego hymnu.

— — — — — — — — — — — —

W czasie czytania książki Chrzanowskiego przypomniałem sobie o jednym z najwierniejszych wyrazicieli epoki romantycznej, Sewerynie Goszczyńskim, którym niegdyś zajmowałem się bliżej właśnie ze względu na rolę, jaką odegrał w dziele formowania nowoczesnej samowiedzy narodowej. Właśnie w ostatnich dniach lutego upłynęło 60 lat od jego pogrzebu. Egzekwje nad jego trumną w patrjotycznym Lwowie były zarazem — jak to dziś widzimy — żegnaniem schodzącego z pola romantyzmu. Pogrzeb urządzali zgromadzeni licznie we Lwowie uczestnicy powstania 1863 r. Kładli oni do grobu postać, symbolizującą ich czasy. Ogół społeczeństwa znał wieszcza z legendy.

Urodzony gdzieś na Ukrainie o świtaniu wieku XIX, szedł skądś—jakby w misji od Wernyhory—z lirnikiem Bohdanem Zaleskim, szedł przez ogień i zgliszcza 1831 r., pokutnikiem był świętobliwym nad Sekwaną, od kilku lat, wróciwszy do kraju, dokonywał żywota wśród wielbicieli w atmosferze chwały i miłości.

Na pogrzeb przybyły delegacje ze wszystkich okolic Małopolski. Słały delegatów wydziały powiatowe, straże ogniowe, rady miejskie, Sokół, Tow. Tatrzańskie. Gromadziła się młodzież akademicka, handlowa, rzemieślnicza, straż ogniowa lwowska do sprawowania kordonów, cechy, bractwa, przedewszystkiem: weterani 1863 r.

Prasa przepełniona była nekrologami, na ulicach widniały żałobne obwieszczenia: „zmarł wieszcz, żołnierz i wygnaniec!" Te słowa były na ustach i w sercach kilkunastotysięcznego tłumu, zebranego koło domu żałoby. W izbie, „jak od choinki było całkiem jasno"—mówi poetka — „Starsi panowie płakali"... Opowiada o tem ze wspomnień dziecinnych Maryla Wolska w cudnym poemacie p. t. „Poznanie", drukowanym w „Myśli Narodowej" w r. 1929:

— Czy ten dziadzio—to święty?
Na to ktoś z tych, co najbliżej stali:
— Nie, mała, to żołnierz,
Polak, co bił moskali
I pisał wiersze,
Nazywał się Goszczyński Seweryn...
Teraz umarł i poszedł do nieba.
Dobrze się przypatrz, mała,
Trzeba, żebyś zapamiętała...

Prowadził kondukt po wielkiem błocie ks. infułat Mossing, za trumną widziano i wyróżniano przyjaciół zmarłego, weteranów, którzy miastu nadawali blask patrjotyzmu: Kornel Ujejski, Alfred Młocki, Józef Janowski, Walerjan Podlewski, Robert Hefern, August Bielowski, Tadeusz Żuliński, niewidomy Józef Supiński, Jan Dobrzański, Platon Kostecki, Agaton Giller, J. Lam. Szła rada miejska w komplecie z prezydentem Jasińskim, profesorowie, a nad morzem głów, jak żagle, barwne chorągwie, chorągwie. Prowadziły zaś ten żałobny orszak długie szeregi duchowieństwa, kroczą Dominikanie, Bernardyni, Karmelici, Franciszkanie, a wiedzie ich duch O. Marka...

Na poduszce niosą pałasz z r. 1831 z oznaką kapitańskiej szarży zmarłego. Niosą też wieńce laurowe. Z domów zwisają czarne flagi, z balkonów białe orły na czerwonem tle...

Nad grobem przemawiał złotousty ks. Antoni Krechowiecki, brat Adama, a syn Jana z Aleksandrówki na Ukrainie, po nim mówił Tadeusz Romanowicz, publicysta, polityk, zawsze w czamarze gotów służyć ojczyźnie, wreszcie Kornel Ujejski.

O grób Goszczyńskiego uderzyła ostatnia bodaj fala romantyzmu polskiego. Słowa tych mówców brzmiały jak pieśń na chwałę powstań i na chwałę poezji, jako przodowniczki dziejów narodu. Ks. Krechowiecki myśl swą wyprowadzał z ultraromantycznego Karola Balińskiego. „O narodzie mój serdeczny, czem ty stoisz nieśmiertelny?" — zapytywał siebie Baliński—i odpowiadał:

Ach, ty manną z nieba żyjesz,
Z pieśni cała siła twoja,
I życie i dzielność!
Z pieśni cała przyszłość twoja:
Zwycięstwo i nieśmiertelność!

Dla nas dzisiejszych jest to już historja, odchodząca w przeszłość legenda; ale dla pokolenia owego w Galicji, uzewnętrzniającego za cały naród wiarę patrjotyczną, ta wiara była rzeczywistością psychiczną. Miała w sobie smutek żałobny marsza Szopenowego i dlatego tak poetycki wyraz znalazła w pogrzebie poety-żołnierza.

Było to już w tej porze, kiedy młodsze pokolenie składało śluby ideologji pozytywizmu i pracy organicznej, ale to nie znaczy, by nie zgięło kolan przed tak pięknym symbolem życia narodowego. Goszczyński dorobił się wysokiego w społeczeństwie stanowiska nie tyle talentem poetyckim, ile wartością swoją moralną. W smudze świetlnej jego życia rysowało się wyraziście bohaterstwo.

Pamiętna była ze świeżej tradycji działalność Goszczyńskiego w Galicji w latach 1831 — 1838. Był jednym z tych, którzy głęboko poruszyli lud wiejski i miejski nauką o narodzie i obowiązku służenia mu wespół z warstwami górnemi. Nie był w tej pracy doktrynerem, owszem kładł podwaliny pod nowoczesną ideologję narodową.

Najdokładniej bowiem w duszy romantyków łączyło się życie z poezją, wolność osobista z wolnością narodu. Nie sposób nam, dzisiaj badającym tę epokę, oddzielić od siebie tych dwu motywów. Nie dziwmy się tedy, że w apoteozie pogrzebowej te dwa motywy złączone były nierozdzielnie. Chowano na cmentarzu Łyczakowskim „wieszcza-żołnierza".

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

W NIEMCZECH POWSTAŁ zdaje się przed pół rokiem Instytut polsko-niemiecki, o którego działalności wiemy niewiele. W pismach naszych wiadomości są żadne, w niemieckich skąpe. Jednak rzucają pewne światło na cele Instytutu. Ostatnio pod egidą tegoż został wystawiony, podobno bogato i artystycznie, w reżyserji sławnego inscenizatora Wegenera film „polski" p. t. „August Mocny" (*August der Starke*). Pierwsze wyświetlenie tego filmu odbyło się z dużą pompą, obecni byli na niem dostojnicy państwa niemieckiego, zaś ze strony polskiej patronował mu ambasador Lipski. Przewodniczący Instytutu profesor von Arnim miał odczyt, oświetlający genezę tego filmu, podkreślając, iż jest on wspólnem dziełem polsko-niemieckiem i jako taki świadczy o wspólnocie duchowej i artystycznej dwu krajów. Poczem obrazy ilustrujące to przemówienie ukazały z jednej strony na tle pełnej przepychu rezydencji królewskiej w Dreźnie Augusta, jako miłośnika sztuki i piękna, a z drugiej... polskie swary i kłótnie.

Poprzednio nakręcane były w Niemczech „Wyrok życia" Morozewicz-Szczepkowskiej i „Mazurek" do którego nawet specjalnie sprowadzono z Ameryki jako przedstawicielkę polską (o to chodziło) Polę Negri, w filmie zaś Szczepkowskiej występowały aktorki warszawskie.

Otóż należy zastanowić się nad „polskością" tych wszystkich filmów, prezentowanych publiczności niemieckiej gwoli zbliżenia wzajemnego i zapoznania z kulturą polską. Gdy pomyślimy, jak wielką, piękną i bohaterską mamy przeszłość, którą należałoby pokazać nietylko Niemcom (choć im niewątpliwie), ale całemu światu, jak w chwilach nawet największego mroku naszych dziejów wybuchały cudowne entuzjazmy i wyrastali prawdziwi bohaterzy, jak jednem słowem bogaty jest obraz naszej istotnej polskości, któryby można pokazać na ekranie, zrozumieć trudno, jakiemi pobudkami kierują się Polacy, należący do Instytutu, którzy robią wybór polskich filmów dla zagranicy, — należy bowiem przypuszczać, że oni, a nie Niemcy decydują o temacie do filmu „polskiego".

Dzieje Augusta w takiem oświetleniu nie ukazują przecież polskości,—te dzieje potraktować można tylko jako tragedję wstrząsającą. Zaś „Wyrok życia" Szczepkowskiej czy „Mazurek" — są to najbanalniejsze historje uwodzenia dziewcząt, pozbawione wszelkiej głębszej myśli, takie, jakich wszystkie kraje wyprodukowały tysiące, a więc nie mające nic wspólnego z polskością. Tu i ówdzie ukazany polski krajobraz nie zmienia postaci rzeczy.

Zagranica wie o nas rozpaczliwie mało. Teraz, gdy w Niemczech obudziło się zainteresowanie polską sztuką, czego dowodem jest np. wystawienie „Halki", cieszące się wielkiem powodzeniem, jak również urządzenie wystawy malarstwa i grafiki polskiej, przejeżdżającej wśród pełnego uznania z miasta do miasta, — wreszcie sama inicjatywa założenia Instytutu polsko-niemieckiego, powinniśmy z tej okazji skorzystać i w filmach, których żądają, pokazać prawdziwą polskość. Gdyż naprawdę już największy czas zrobić „odkrycie" Polski— odkryć ją nietylko dla cudzoziemców, ale i dla Polaków, przełamać cichą umowę grobowego milczenia nad przeszłością naszą w tem, co było z niej prawdziwie wielkie, potężne i nieśmiertelne.

UTARŁ SIĘ JUŻ POWSZECHNIE najbardziej niesłuszny termin: „film polski" na oznaczenie produkcji krajowej, a wiadomo przecież kto się kryje, jaki element i z jakiej dzielnicy Warszawy, poza wielce frapującemi oraz pretensjonalnemi nazwami rozmaitych wytwórni. Nigdzie bodaj k o ł t u ń s t w o nie znajduje tak przychylnej dla siebie atmosfery, jak właśnie w filmie miejscowego wyrobu. Dodajmy, że on to, jako przejaw sztuki najbardziej bliski masom, staje się nie tylko symbolem owej zatrważającej złym smakiem tandety, ale jeszcze propagatorem tego wszystkiego, co jest antytezą kultury:

Jest takie (jeszcze!) pismo w Warszawie, które usiłowało wziąć monopol (nawet niestety koncesjonowany...) na stołeczne środowisko kulturalne i jego opinję, często, bardzo nawet często stawiając innym ulubiony zarzut kołtuństwa. I cóż się okazuje? Oto główny filar tego pisma, poeta Juljan Tuwim jest autorem tekstów piosenek w takim najnowszym arcy-cudzie sztuki filmowej jak „Dodek na Froncie", gdzie mamy i austryjaków i moskali (koniecznie, koniecznie...) a zwyciężają na końcu legjoniści. (Aż żal doprawdy postponowania walk legjonowych...)

Wprawdzie wydawnictwo „Wiadomości Literackich" zeszło w ostatnich czasach dosłownie na psy, ratując finanse dwutygodnikiem „Przyjaciel Psa", ale czy i czołowy poeta pierwszego pisma musi koniecznie iść śladem tego drugiego perjodyku?

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Twórczości ś. p. J u l j a n a E j s m o n d a patronował niegdyś Henryk Sienkiewicz, który wskazał jej już za młodocianych lat poety właściwy styl i kierunek oraz wywróżył jej piękną przyszłość. I warto mieć w pamięci, że obaj pisarze — dochodzący kresu żywota Sienkiewicza i wchodzący w życie Ejsmond — spotkali się istotnie w węzłowym punkcie, tak iż można nawet wskazać datę ich współpracy, wspólnej dążności. Data ta, pamiętny r. 1914, mieści w sobie „Antologję bajki polskiej" Ejsmonda i „Legjony" Sienkiewicza. W pierwszej z tych książek znalazły się bajki obu tych pisarzy, wzorowane — ale jak oryginalnie! — na Ezopie i Fedrusie, w drugiej zaś dominował umiłowany przez nich obu Krasicki, którego rolę w naszem pokoleniu wyznaczał Sienkiewicz swemu młodemu przyjacielowi. Przepowiednia ta spełniła się tylko o tyle, że istotnie Ejsmond był najtęższym, najpłodniejszym i najdowcipniejszym bajkopisarzem polskim od czasów Krasickiego. Natomiast co do samego charakteru bajek Ejsmonda stwierdzić należy, że są one zgoła niezależne od bajek biskupa warmińskiego. Co je odróżnia od tamtych? Dwie przedewszystkiem cechy: przedewszystkiem brak wyraźnego morału, powtóre wielka obfitość uczucia, z którem Krasicki krył się dyskretnie. „Bajki liryczne", taki tytuł ma nawet jeden z cyklu Ejsmondowych bajek, stwierdzając, że ich autor jest przedewszystkiem lirykiem. I nietylko. Jest wielkim miłośnikiem przyrody — i jej znawcą. U Krasickiego galerja zwierząt jest konwencjonalną — o cechach ustalonych z Ezopa (wyjątkiem są niektóre z „Bajek nowych"); natomiast Ejsmond, autor prześlicznych „Przygód wiewióreczki" i były referent wydziału łowiectwa, jest po Weyssenhoffie i Dygasińskim najprzedniejszym poetą-przyrodnikiem; z konwenansu zaś Ezopowego kpił sobie wielokrotnie.

Zbiór jego bajek ukazał się po raz pierwszy w r. 1927. Teraz ukazało się ich drugie wydanie, rozszerzone w dwójnasób, a opatrzone tytułem „Słoń i nożyce". Najpiękniejsze są w tym zbiorze bajki powstałe w ostatnich latach twórczości tego niepospolicie uzdolnionego poety. (J. B.)

*

Koszary stały się w mowie potocznej synonimem monotonji, bezduszności, nudy. Czyż można więc napisać utwór literacki na tle życia koszarowego? Oczywiście dokazać tego można, ale pod dwoma warunkami: że się to życie zna i rozumie i że się ma tęgi zmysł obserwacyjny. Mury koszarowe to przecie — mimo ubóstwa sprzętu — komórka silnego a odrębnego życia, zbiorowiska ludzi, którzy przy tożsamości munduru są przecie różnorodnemi indywidualnościami, zazwyczaj bardziej zróżnicowanemi niż np. gromada ludzi zapełniających wytworne i bogato przystrojone kawiarnie. Da się więc z życia żołnierskiego nietylko w boju, ale i w pokojowym codziennym trybie wykrzesać nietylko takie piosenki i nowele, jakie dał R. Kipling, ale nawet powieść niejedną. Stworzenie takiej powieści nie udało się niedawno A. Rudnickiemu, który podobno życie koszar znał tylko z przygodnego pobytu na ćwiczeniach wojskowych i... z wrodzonej niechęci do samej idei wojska.

Natomiast pisarzem dobrze obeznanym ze swoim tematem jest Jerzy Jukowski, autor „Małego garnizonu" (wyd. „Rój"). Nie popełnia on takich gaff i omyłek cywila, jakich nie brak Rudnickiemu; nie zaprawił też swojej opowieści żółcią uprzedzenia. Bezstronnie przedstawił ciemne i jasne strony życia zarówno oficerów jak żołnierzy. Nie ukrywa, nie owija w bawełnę takich spraw, jak pijaństwo, jak kłótnie i zawiści osobiste między dowódcami, jak wreszcie luźna moralność seksualna. Niektóre karty książki są naprawdę gorzką, a sprawiedliwą satyrą. Ale jednocześnie wyczuwa się na każdej karcie, że autor miłuje tych ludzi, którym tych przykrych słów nie szczędzi; to też z radością pisze o jasnych chwilach, o chlubnych poczynaniach jednostek, o zapale, jakim przejmuje nawet malkontentów wymarsz na manewry. Opis manewrów jest pyszny w swej werwie i w swem epickiem ujęciu. Cała książka warta jest czytania. (J. B.)

*

W krąg wyrafinowanych, dziwnie dręczących uczuć wprowadza nas najnowsza powieść Marcelego Prévost'a „Klaryssa i jej córka" (Warszawa — 1936) — trzymając aż do końca uwagę czytelnika w nieustannem napięciu, oczekiwaniu tragicznego rozwiązania.

Coprawda, wewnętrzne dzieje tego podwójnego romansu zostały tutaj silniej, niż zazwyczaj w analogicznych wypadkach splątane.

Główny bohater już w młodości, zresztą z oddalenia, w pamiętniku oglądanej, przedstawił się nam jako charakter chwiejny, człowiek — niezdolny do stanowienia o swoim losie, dopóki go w mocne, pewne dłonie nie ujęła stanowcza, nie znająca wahań w działaniu, Klaryssa... Ani się spostrzegł, gdy klamka zapadła i on, prawie bez udziału własnej, zdobywczej inicjatywy, stał się szczęśliwym małżonkiem namiętnie go kochającej Klaryssy — nie zaś „małej" Simony, z którą najczęściej chyba przestawał.

Upalne lata młodości zbiegły szybko: jedyne dziecko, Gizela już nietylko wśród najbliższych ale i pomiędzy obcymi w szkole skarbi sobie — dzięki niecodziennemu urokowi duszy i ciała — oddanych przyjaciół. Pomiędzy ojcem zaś i córką zawiązuje się, coraz silniejsze w miarę lat, porozumienie, oparte na podobnej strukturze psychicznej i najgłębszem, jakże czystem spojrzeniu na otaczający świat i twórczość ludzką. I dzieje się tak, że mimowoli Gizela wkońcu już bez reszty zabiera Klaryssie „jej" Ludwika, a swego, ubóstwianego ojca, nauczyciela i przewodnika duchowego.

Klarysa nie rezygnuje jednak ze swych praw do wyłącznej miłości męża: potrafi we właściwy sobie, bezwzględny sposob skutecznie walczyć. Zato Ludwik nie stoi na wysokości zadania: nie umie obronić najdroższej istoty ani łączącego ich uczucia przed brutalnością intrygi. Subjektywnie rzecz biorąc, powinien był on inaczej reagować na wypadki... o ile naturalnie uznamy konsekwencje w postępowaniu za coś podstawowego dla estetycznego sensu życia.

Zastrzeżmy się: jeśli w grę wejdzie utylitarna moralność społeczna i jej egoizm, to wówczas wydanie za mąż Gizeli, przerwanie w ten sposób nad miarę egzaltowanego stosunku uczuciowego między dwojgiem bliskich sobie ludzi wyda nam się zdrowym zabiegiem wychowawczej terapji, mającej na celu jedynie normalną przeciętność. Za wypróbowaną metodą jeszcze bardziej przekonywająco przemawiałby pozytywny rezultat — tutaj, niestety, śmierć Gizeli, składającej własne szczęście na ołtarzu obowiązku wobec matki, staje się wzruszającym dowodem, wymownym głosem przeciw słuszności takiego stanowiska.

Akcja powieści rozgrywa się na tle prowincji francuskiej, w sferze burżuazji i jej, coraz bardziej nam obcych, ideałów. Nawiasem mówiąc, owo przeczulenie, będące istotnym warunkiem tragicznego konfliktu, jest do pomyślenia chyba w małżeństwach francuskich, tak beznadziejnie ubogich w potomstwo.

Przekład miejscami trafnie oddaje finezję takiego precyzyjnego mechanizmu, jakim jest psychologiczna, świetnie, bez zbytecznych epizodów, skomponowana (w czem celują Francuzi), powieść Prévost'a. Zbyt często jednak trafiają z winy tłumacza pospolite błędy stylistyczne i o — zgrozo! — gramatyczne.

(St. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Z POWODU WYSTAWY „ŁADU"

OBRAZ na ścianie jest tylko cząstką naszego mieszkania i służy jego ozdobie. Jeśli obrazy są piękne, a mieszkanie, w którem się znajdują, brzydkie — łączność między obrazem a wnętrzem nie istnieje. Takie wnętrze można uważać jedynie za pomieszczenie, skład dla obrazów, przystań dla czyjejś prywatnej kolekcji malowideł. Gdy właściciel obrazu lub rzeźby nie ma ambicji zbieracza, lecz urzeczony pięknem dzieł sztuki pragnie tylko z niemi obcować, z natury rzeczy winien okazać wrażliwość i wobec innych wartości estetycznych, które znajdzie poza obrazem, lub rzeźbą. Zachwyt wobec obrazu wyda nam się słusznie zgoła czemś nienaturalnem, jeśli mu będzie towarzyszyć całkowita obojętność dla ohydnego wzoru tkaniny na kanapie pod tym obrazem. Jeśli piękno, w postaci widzialnej, jest jedną z rzeczywistych potrzeb naszej kultury, trzeba, aby wszystko, co nas otacza, nosiło jego znamiona.

Takie były, mniejwięcej, argumenty grona artystów, którzy przed laty w Krakowie założyli towarzystwo pod nazwą „Polska Sztuka Stosowana". Wykazali oni, jakże doniosłą w późniejszych skutkach, chęć oczyszczenia i uprawy terenu już bardzo zachwaszczonego, gdyż zainteresowania kulturalne ówczesnej polskiej inteligencji w zakresie plastyki bardzo rzadko sięgały poza obraz lub rzeźbę. Po „Sztuce Stosowanej" podobną pracę podjęły „Warsztaty Krakowskie", stowarzyszenie czynne w Krakowie przed wojną światową. Obie placówki wychowały typ artysty-pracownika, który przyczynił się walnie do sukcesów naszego działu na międzynarodowej wystawie sztuki dekoracyjnej w Paryżu w 1925 roku. Autorami dzieł tam wystawionych byli profesorowie i studenci warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych.

Z tych kół rekrutują się także członkowie, założonej przed dziesięciu laty, spółdzielni „Ład". Instytucja podobnego rodzaju, acz nie dążyła do zakładania wielkich wytwórni i fabryk, musiała jednak zorganizować warsztaty i pracownie, gdyż postawiła sobie za cel nietylko projektowanie, ale i realizację przedmiotów do wnętrza mieszkalnego. Realizacja, wytwarzanie stały się jedną z głównych podstaw ideologicznych i praktycznych instytucji. Rzeczy wytwarzane szły w życie i w niem działały swemi wartościami; z drugiej strony artysta z „Ładu", po wykonaniu swego projektu, mógł najdobitniej przekonać się o jego użyteczności, lub też — nieżyciowości.

Tym sposobem artyści wzbogacali swe doświadczenie; jest też „Ład" do pewnego stopnia stacją doświadczalną, która nie licząc się tylko z kalkulacją handlową, dokonywa w swoim za-

kresie prób i poszukiwań, a przykładem swej pracy pragnie oddziaływać na innych tak, aby się przynić do podniesienia ogólnej kultury plastycznej kraju.

Ponieważ przedmioty, które wypełniają wnętrza mieszkalne, ze względu na materjał z jakiego zostały wykonane, można podzielić na kilka kategoryj, w odpowiedniej im liczbie działów skupia się także wytwórczość „Ładu". Stanowią je: tkactwo, stolarszczyzna (meble) i ceramika. W dziale ceramiki „Ład" nie wytwarza rzeczy ściśle użytkowych, z porcelany i fajansu, które wymagają użycia specjalnej glinki, ograniczając się do naczyń o charakterze dekoracyjnym (wazony) i dekoracyjno-użytkowym (patery). Głównym efektem artystycznym staje się tu barwa szkliwa polewy, w jej przeróżnych możliwościach kolorystycznych. Ten dział wiedzy ceramicznej, pozostający w ścisłym związku ze znajomością chemji, daje z roku na rok coraz piękniejsze rezultaty. „Ład" wykonał już w tym zakresie sporo prac o niezwykłej finezji kolorystycznej. Natomiast wyniki w zakresie formy naczyń są uboższe.

Dział tkanin jest chlubą „Ładu" i może być przedmiotem jego słusznej dumy. Widzimy w nim kilimy i tkaniny lniane, tkane na warsztacie żakardowskim. Szlachetność użytego materjału, wełny i sposobu jej barwienia przyczynia się w ogromnej mierze do podniesienia wartości kilimów. Co do wzorów, w kilimach z pierwszych lat działalności „Ładu" razi nadmierna geometryzacja, wypływająca nietylko z techniki kilimowej, ale w równej mierze z ówczesnych upodobań artystów. Dziś wzrasta zamiłowanie do form bogatszych i bardziej skomplikowanych, do linij łagodnych i płynnych i w związku z tem artyści coraz chętniej zwracają się do gobelinu, który dopuszcza użycie łuku.

W tkaninach lnianych „Ładu" może najpiękniej objawił się rasowy instynkt artysty — Polaka. Są one współczesne najlepszą współczesnością; ani „zwarjowanie modernistyczne", ani niewolniczo konserwatywne, niczego nie naśladują, a jednak ich związek z najlepszemi tradycjami naszego tkactwa jest widoczny, odrazu widać z jakiego dobrego gniazda pochodzą. Ktoś, jakiś laik, powiedział kiedyś, oglądając jedną z tkanin ładowych: „Ależ to bardzo podobne do dawnych pasów polskich. W tem naiwnem powiedzeniu był pewien sens, może tylko źle wyrażony. Wiem, że tkacze z „Ładu" za mało może studjują dawne tkactwo, a jednak stary pas polski, zwłaszcza ten z mniejszych i mniej wpływom wschodnim ulegających pasjarni, to krewniak wielu tkanin z „Ładu". Drugim ich krewniakiem są ludowe tkaniny z Wileńszczyzny, posługujące się od lat tym samym wzorem. Tu się właśnie przejawia ten dobry instynkt, o którym wspomniałem.

Chociaż najbardziej spopularyzowały „Ład" tkaniny, odcinkiem pracy niemniej ważnym a może podstawowym, jest w tej instytucji meblarstwo. Bo mebel w mieszkaniu odgrywa rolę najważniejszą, a reszta przedmiotów wnętrza dostraja się do niego, służąc w znacznej mierze ozdobie, gdy on, przedewszystkiem, ma być nam użyteczny. Cóż bowiem po pięknem krzesełku, na którem nikt usiąść nie może? Wymogi użytkowości uczyniły zadanie meblarza znacznie trudniejszem od innych zadań plastycznych. My od mebla żądamy usług bardzo ściśle określonych i to są właśnie przyczyny, które ściągają fantazję artysty na teren o wyraźnie zaznaczonych granicach. Ponieważ w tych granicach działali także inni przed nami ładnych parę stuleci, więc istnieje już bogata kultura meblarska, wsparta o doświadczenie rzemiosła. Studjowanie dorobku tej kultury, obserwacja poczynań poprzedników współczesnych meblarzy niewątpliwie może dać wiele pożytku i wykazać, jak różne były możliwości twórcze, nawet w tak ciasnych granicach. Ale czasem ta właśnie bogata przeszłość staję się przeszkodą; podobieństwo umysłów ludzkich na podobne wprowadza tropy i na odkrytej przez nas Ameryce jakże często znajdujemy sztandar poprzedniego odkrywcy. Jak przygotowali się do swej pracy artyści - meblarze z „Ładu"? Mam wrażenie, że całkiem słuszne poszanowanie rzemiosła (konstrukcji drzewnej) przeważało u nich nad kulturą meblarską — powiedzmy to sobie — nie nazbyt wysoką. Kto jako twórca zwraca się ku przeszłości, musi mieć dość siły i rozumu, by wiedzieć jak się od niej uczyć, nie naśladując, i nie ulec suggestji doskonałych wzorów. To niebezpieczeństwo nie groziło „ładowcom" poprostu dlatego, że się do tej przeszłości nie zwracali, trochę lekkomyślnie, bo bez sprawdzenia, urobiwszy sobie mniemanie, że wszystko w niej nadto skomplikowane i już do użytku na dziś, do wnętrz współczesnych niezdatne. W wyniku tego stanowiska wielu meblom „Ładu" nie mozna odmówić logiki konstrukcyjnej, brak im jednak dość często poloru dobrej kultury meblarskiej i właśnie praktycznych cech użytkowości, którą w jej najdoskonalszych formach, wieki całe urabiały. To też twórczość „Ładu", w tym zakresie, należy traktować do pewnego stopnia jako pracę warsztatu doświadczalnego: meblarze uczą się, poznając własne błędy po realizacji projektów, co byłoby nie do pomyślenia w instytucji o charekterze wyłącznie przemysłowo-handlowym. Te próby i doświadczenia może opóźniają ostateczny wynik dodatni (osiągnięty już w tkactwie, ale nie są ani bezcelowe, ani bezowocne.

Dzięki nim w ostatnich pracach „Ładu" widzimy wyraźne zmiany na lepsze. Niektóre meble, oglądane na wystawie ostatniej, należą do dzieł zupełnie dojrzałych (fotele M. Sigmunda) i mogą nam służyć nietylko na dziś, gdyż ich zrównoważona i przemyślana forma jest argumentem, który się ostoi wobec czasu.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

FILHARMONJA. — Już to trzeba przyznać na pochwałę obecnego kierownictwa Filharmonji, że dokłada ono dużych wysiłków, aby sezon koncertowy postawić na jaknajlepszym poziomie. Wprawdzie dałoby się wytknąć i niejeden błąd, ale któż jest ich pozbawiony! Zaproszenie do Warszawy W a l t e r a G i e s e k i n g a było pomysłem wielce szczęśliwym. Znaliśmy tego pianistę dotychczas tylko z płyt i niemal wyłącznie jako odtwórcę muzyki nowej. W piątek wykonał koncert *es-dur* Beethovena. Wykonał z tą precyzją i czystością, jaka cechuje go np. przy odtwarzaniu Débussy'ego. Zarzucano też mu, że zbyt dużo w swej interpretacji jednego z najpiękniejszych dzieł klasycznej literatury miał przebłysków nowej muzyki. Może — ale czyż jest jakiś rzeczywiście obowiązujący sposób grania, którego porzucenie nosiłoby już posmak herezji? Gdy artysta grał część trzecią

koncertu, porywała nas ona swym wdziękiem. Świadomie i nawet naprzekór innym użyłem tu słowa „wdzięk". Jakże dla niektórych koliduje ono z wielkim stylem Beethovenowskim! Tak jakby twórca z Bonn napisał tylko sonatę patetyczną, a nie wyczarował symfonji pastoralnej!

W odtwarzaniu nowej muzyki był już Gieseking bez zarzutu, bez zastrzeżeń ze strony najsurowszej nawet oceny. Grał *Pagodes* Débussy'ego, jego *Reflets dans l'eau* oraz Rawela *Ondine*. Jeszcze raz mogliśmy spostrzec, jak dalece Ravel jest odbiciem, cieniem wielkiego twórcy „Peleasa".

Orkiestrę prowadził Oswald Kabasta, wiedeńczyk, z rasy (nawet fizycznie) typowych muzyków, co to swoim wyglądem przypominają akcesorja nieodłączne od sztuki muzycznej. Tacy dyrygenci bywali w tomach historji muzyki, z takimi włosami, takim wyrazem twarzy, znamionującym siedzenie po uszy w dziedzinie swoich zagadnień, którym się jest oddanym bez reszty.

Wieczór rozpoczęto kwintetem smyczkowym Vivaldi'ego w opracowaniu Francka, poczem usłyszeliśmy III-cią symfonję Brahmsa, a na zakończenie „Tilla Eulenspiegla", którego wykonanie, dobre zresztą, nie należało do najlepszych. Właściwie „Till" objawił się już w akompanjamencie orkiestrowym koncertu Beethovena, bez najmniejszej winy dyrygenta. Jakieś licho przeszkadzało grać czysto i bez zarzutu orkiestrze... Winna ona jednak baczniej czuwać nad czystością wykonania.

*

W TEATRZE WIELKIM wystawiono operę Wagnera, Niedowiary — prawda? Jak? — W tem cała trudność. Wystawiono ją raz jeden, jak „Goplanę" Żeleńskiego i „Manru" Paderewskiego. Jeśli recenzent nie zdąży na jedno jedyne przedstwienie, czytelnicy są pozbawieni recenzji. Nic to jednak — gorzej, że wszyscy są pozbawieni prawdziwej opery. Codziennie i codziennie operetka. Obecnie „Kwiat Hawaju". Opera w gmachu Teatru Wielkiego jest jakimś tylko przebłyskiem. Czasem służy jako tło dla aparatu filmowego. Wówczas widzów zamienia się w statystów, mimo ich gorących protestów.

Narzeka się powszechnie na brak pieniędzy, na niemożność pokazania prawdziwej, rzetelnej sztuki. Wolno się spytać, ile kosztuje takie jednorazowe wystawianie oper? I czy artyści rzeczywiście tak bezkarnie pozwalają kpić ze swoich wysiłków? I po co to wszystko, w jakim celu? Zapewne, ażeby się wylegitymować wobec ciążącego procesu, że jednak Teatr Wielki wystawił i Wagnera i Paderewskiego i Żeleńskiego...

Kosztowny proces!

W. NARUSZ

DNIA 29 lutego *jury* państwowej nagrody muzycznej uchwaliło jednogłośnie przyznać nagrodę prof. Kazimierzowi Sikorskiemu za działalność na polu muzyki symfonicznej, kameralnej, chórowej, a szczególnie za pracę pedagogiczną. Do najwybitniejszych uczniów nagrodzonego należy zaliczyć głośne już dzisiaj nazwiska: Grażyny Bacewiczówny, Jana Ekierta, Romana Maciejewskiego, Romana Palestra oraz Antoniego Szałowskiego.

Prof. Kazimierz Sikorski urodził się roku 1895-go w Zurychu. Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie oddał się studjom muzycznym w Wyższej Szkole Muzycznej imienia Chopina pod kierunkiem prof. F. Szopskiego. Na uniwersytecie warszawskim studjował filozofję, na lwowskim muzykologję. W latach 1925 i 26-tym był profesorem konserwatorjum muzycznego w Poznaniu, od roku zaś 1926 przeniósł się do Warszawy, gdzie objął również stanowisko profesora.

Nagroda wynosi 5000 zł.

N.

FILM

PAN: „Pan Twardowski" reż. Szaro.

Chwalebna to chęć zainteresowanie się podobnym tematem, a i sam temat b. wdzięczny. Zobaczmyż więc do czego te chęci doprowadziły i jak wygląda film pod względem treści i jej plastycznego ujęcia. Bardzo dobrze wypadła w pewnym zakresie praca operatora, fotografje są staranne, soczyste, bogate w światłocień. Także, zwłaszcza w scenach o charakterze kameralnym, widać dbałość o każdorazowe interesujące zakomponowanie treści plastycznej ekranu. Sceny te (djalogowe) zostały wygrane zbliżeniami lub półzbliżeniami. Ale szereg nieźle zakomponowanych, następujących po sobie fotografij, to jeszcze nie film. W scenach zbiorowych (np. taniec, zabawa na rynku w Krakowie), gdy trzeba było podobną metodę porzucić i, nie napychając tak ciasno ekranu, odepchnąć tłum wgłąb, by stworzyć pewną perspektywę, operator w dalszym ciągu trzyma się kurczowo pierwszych planów i fotografuje z poziomu nosów aktorskich. I film ma w tych fragmentach zbyt krótki oddech, przypominając Zagłobę, który tłoku nie lubił. Tam gdzie operator powinien zastosować zdjęcia wózkowe, aparat także zanadto jest niemrawy.

A teraz treść. Jak ją ująć? Czy potraktować czarodziejstwa Twardowskiego na serjo? Tu reżyser wykazał brak wyczucia. Fakt sprzedania przez Twardowskiego duszy djabłu uznał p. Sza(pi)ro niemal za dramat. Zadużo tu Mefista, a zamało polskiego djaska. Przecież ta para stara się, jak to dziś się mówi, nabić się wzajemnie w butelkę. Trzeba było potraktować to jako krotochwilę, facecję, oczywiście nie farsę (Mickiewicz dał w tym względzie dobre wskazówki).

Niewłaściwie i w sposób teatralny zostały potraktowane rozmaite hokus-pokus Twardowskiego, te wszystkie zaklinania przejmującym szeptem, przy zapalonych świecach, na nikim wrażenia nie robią. A przecież film, z jego *trick*'ami, mógł rozwiązać te rzeczy bardzo efektownie. Gdy pod koniec Twardowski jedzie na kogucie, przypominają się nam pomysły z grotesek rysunkowych i kto wie — może to właśnie była droga właściwa.

Aktorzy niewiadomo dlaczego deklamowali z niesłychanym patosem, zaledwie kilka osób mówiło normalnie. Między niemi znalazł się Kurnakowicz, który w bardzo dobrze zagranej roli pachołka Twardowskiego wniósł do filmu dużo ożywienia i był najbardziej prawdopodobną postacią z owych czasów.

Brodniewicz wyglądał znakomicie w kontuszu i grał fatalnie.

*

ROMA: „Szopen piewca wolności" film niemiecki.

W niedawno otwartym Domu Katolickim mieści się też kino „Roma". Na pierwszy ogień puszczono film, obrazujący życie Szopena jako młodzieńca w Warszawie i z pierwszego okresu jego pobytu w Paryżu. Film zrobiony jest kulturalnie pod względem technicznym, natomiast przy najlepszych intencjach jego autorów (Niemców) trudno oczekiwać od nich takiego zarysowania tła ówczesnej Warszawy, któreby nas w pełni zadowoliło. Kilkakrotnie podkreślono w filmie koncepcję, iż Szopen, jako wielki muzyk, lepiej spełni swój obowiązek wobec ojczyzny grając, niż walcząc w szeregach powstańców. Film jednak nie jest unaocznieniem słuszności tego poglądu, wskazuje raczej na miłość do kobiety, jako źródło wielu natchnień Szopena.

Aktor grający Szopena w niczem go nie przypomina.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Jarecka Zofja. Na fali życia. Powieść. Warszawa, 1935. „Tęcza".

Gojawiczyńska Pola. Rozmowy z milczeniem (nowelle). Warszawa. Gebethner i Wolff.

Karski Gabryel. Noc zapomnienia. Powieść. Warszawa, 1935. Dom Książki Polskiej.

Birkenmajer Józef. Bogurodzica wobec hymnografji łacińskiej. Warszawa, 1935. S. 42.

Pękalski Michał. C-moll. (Poezje). Warszawa. Dom Książki Polskiej.

Lipiński Franc. Cherubinowy lament (Poezje). Kraków, 1935. Nauka i Sztuka.

Rabski Janusz. Alma Mater. Powieść. Poznań. Księg. św. Wojciecha.

Szymanowska Zofja. Opowieść o naszym Domu. Warszawa. Książnica Atlas.

Porębski Eug. Samochód wychodzi z fabryki. Warszawa. M. Arct. S. 62.

POKŁOSIE

DWIE POLSKI

PAN MINISTER skarbu, zagajając narady gospodarcze, jakie odbyły się w ubiegłym tygodniu, rozgraniczył Polskę na dwie części wzdłuż linji, biegnącej mniej więcej przez środek kraju.

„Po jednej stronie granicy idealnej—mówił—ustawimy nasze województwa zachodnie, a mianowicie województwa: pomorskie, poznańskie, śląskie, krakowskie, kieleckie, łódzkie i warszawskie, a po drugiej całą resztę państwa. Obie części posiadają prawie identyczne cyfry globalne mieszkańców, mianowicie wzwyż 16 miljonów ludzi według ostatniego urzędowego spisu ludności. Obszar Polski „a” reprezentuje okrągło 36% powierzchni i 115 mieszkańców na kilometr kwadr., obszar Polski „b” obejmuje 64% powierzchni i gęstość zaludnienia, wyrażającą się cyfrą 64 na kilometr kwadr. W Polsce „a” zasadniczy podział ludności wyraża się liczbami: 37% ludności miejskiej i 63% wiejskiej, lub przeważnie wiejskiej, a w Polsce „b” te same liczby wynoszą 19 i 81%. Różnica więc jest zasadnicza.

„W Polsce „a„ sprzedaje się prawie 70% całej wewnętrznej konsumcji cukru, 73% spirytusu, 67% tytoniu, 64% zapałek, 93% energji elektrycznej, 80% nawozów sztucznych i maszyn rolniczych, zwyż 80% żelaza i zwyż 95% kawy i herbaty. Podatku od nieruchomości płacą województwa zachodnie wzwyż 75% sumy globalnej, w podatku przemysłowym partycypują udziałem zwyż 80%, wszystkich podatków państwowych płaci każdy mieszkaniec dzielnic zachodnich około 28 zł. rocznie, a województw wschodnich około 9 złotych. Województwa zachodnie na obszarze uprawy około 20% mniejszym produkują prawie o 15% więcej w zakresie czterech podstawowych gatunków zbóż, niż województwa wschodnie”.

Nie pierwszy to raz w naszych rozprawach publicznych operuje się podobną linją, dzielącą Polskę na dwie równe części, a przed paru miesiącami wskazywaliśmy na tem miejscu na interesującą publikację geografa M. Janiszewskiego („Polska w obliczu Europy”), która nie ogranicza się do stwierdzenia różnic materjalnych i fizycznych, lecz zwraca uwagę również na różnice struktury psychicznej mieszkańców.

„Polska—czytamy tam—leżąca w środku Europy, obejmująca w swych granicach zachodnio i wschodnio-europejskie krainy, zachodnie i wschodnie struktury gospodarcze, zachodnie i wschodnie struktury psychiczne, znajduje się w osobliwej roli. Tu gromadzą się wszystkie dodatnie i ujemne cechy obu części Europy. Są tu zatem możliwości największe, najgroźniejsze, złe i najwspanialsze. Zachód i Wschód wnoszą rozmaite pierwiastki... Czy zespolimy dodatnie elementy Zachodu i Wschodu, stwarzając nową w świecie syntezę?”

Zwolennik materjalistycznego poglądu na dzieje nie miałby po przeczytaniu cyfr p. ministra skarbu wątpliwości: wyraźna przewaga zachodnich dzielnic pod względem produkcyjnym i konsumcyjnym musi też dać zwycięstwo cywilizacji zachodniej nad wschodnią. Ale kto wie, czy dzisiejsze nasze stosunki nie będą kiedyś przytaczane właśnie jako argument przeciwko materjalizmowi historycznemu, bo czyż nie widać w nich wyraźnych oznak dominującego wpływu Wschodu?

Ale może to nie całkowita porażka Zachodu, może idziemy do syntezy, o której mówi M. Janiszewski?

Niestety, znakomity uczony Feliks Koneczny w ostatniem swem dziele p. t. „O wielości cywilizacyj”, dziele, z którem powinien się gruntownie zapoznać każdy inteligent polski, nie wiele zostawia nam nadziei na taką syntezę. „Gdzież więc pole do syntez cywilizacyjnych? Gdybyż coś takiego było możliwem, musiałoby się przejawić wszędzie, gdzie rozmaite cywilizacje stykają się. Synteza syntez miała już czas wytworzyć się w Indjach z sześciu tamtejszych cywilizacyj, a w Polsce powinnaby by powstać też niezgorsza. A tymczasem u nas cztery cywilizacje: żydowska, bizantyńska, turańska i łacińska walczą z całych sił; tylko tamte trzy łączą się zazwyczaj sojuszem wojennym, by uderzać na łacińską wspólnemi siłami, ale poza tem i one walczą z sobą, mocując się na siłę.

Synteza możliwa jest tylko pomiędzy kulturami tej samej cywilizacji, lecz między cywilizacjami żadną miarą... Pomiędzy cywilizacjami możebna jest tylko mieszanina mechaniczna. Zdarzają się one nierzadko, ale wiodą zawsze do obniżenia cywilizacji, a czasem do jej upadku, do stanu wręcz acywilizacyjnego. Ilekroć w Polsce poszukiwano „syntezy pomiędzy Zachodem i Wschodem” zawsze zwycięsko wychodził z tego Wschód. W rezultacie odwróciliśmy się od Zachodu i za Sasów poświęciliśmy się... rozszerzaniu cywilizacji turańskiej ku Zachodowi. Pogrążeni w orjentalnem nieuctwie nie mogliśmy sobie dać rady z odrębnością prawa publicznego od prywatnego. Z ciężkim mozołem nawracaliśmy z powrotem do łacińskiej cywilizacji, utraciwszy niepodległość w tych zapasach“. (Str. 313 i 314).

Oprzyjmy się więc mocno o pomyślne warunki materjalne i stańmy silnie przy łacińskiej Macierzy.

ARGUS

NA MARGINESIE

Pewien mąż stanu urządził ankietę, bo nijak nie umiał tego problemu rozwiązać:

— Co niebezpieczniejsze dla państwa—komunizm, czy też polski nacjonalizm?

Zapytał o to brata Jakóba, a ten odpowiedział:

— Pitanie!

*

— Bracie Jakóbie — pytano go — oto w jednem ręku mamy cios w nacjonalistów, w drugiem — wniosek do ustawy o uboju rytualnym. Niechajże żydzi zdecydują się, jak mają postąpić.

— Co znaczy postąpić? Oni jeszcze nie słyszeli propozycji. Nie trzeba prawdy chować pod Kocem, jak mówi przysłowie.

*

— Moja rada — rzekł wreszcie brat Jakób — darować żydkom ubój rytualny i zastosować go do nacjonalistów. I wilk cały i koza cała, jak mówi przysłowie.

— No niecała, bo któż wtedy w Polsce zostanie?

— Mi zostaniemy.

*

Przeciwnicy etatyzmu kwestjonują celowość powierzania teatrów stołecznych T-wu Krzewienia Kultury Teatralnej. Oto teraz mieliśmy dowód, jak oni się mylą.

Aktor się upił i zasnął. Musiano zerwać w środku wieczór, poświęcony Szekspirowi. Ale z jaką kulturą to uczyniono! Wyszedł przed kurtynę reżyser z palcem na ustach i oznajmił szeptem:

— Znakomity artysta ...zasnął!

Publiczność wyszła na palcach po cichutku, aby go nie zbudzić.

Nie! Kultura bardzo jest potrzebna!

*

P. Irena Goldberg-Krzywicka tak kończy w „Wiadomościach literackich“ (nr. 10 z r. b.) artykuł, poświęcony twórczości Marji Rodziewiczówny:

„Łudzi się [Rodziewiczówna], że jeszcze będzie po dawnemu, po szlachecku, po staropolsku. Nie rozumie, że prądu historji nie da się odwrócić”.

Jakże te żydy nie potrafią się zdobyć na jakiś gest skromniejszy, przyzwoitszy... Czyż to wypada, żeby Goldberżanka pouczała nas o śmierci staropolszczyzny, na zawsze już—jej zdaniem—zatopionej przez „niedający się odwrócić“ prąd historji?...

*

Z tychże „Wiadomości literackich”, z autobiografji „jubileuszowej” p. Juljana Tuwima („1936—1911—XXV”) dowiadujemy się, że ten przyjaciel jenerała Wieniawy-Długoszewskiego, autor wierszyków hurra-patrjotycznych w „Gazecie Polskiej“ i t. d., był w roku 1911, w okresie najostrzejszej walki o szkołę polską, uczniem w gimnazjum nie prywatnem polskiem, ale rządowem — rosyjskiem.

Wtedy... nie dbał jeszcze coprawda wcale o stosunki z „niepodległościowcami...“ Ale „państwowcem“ lojalnym wobec władzy to on w tych czasach także był... Nu, czy nie prawda?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.